



OLSZTYŃSKI Biuletyn Informacyjny

MIESIĘCZNIK ZARZĄDU ODDZIAŁU WOJEWÓDZKIEGO SEiRP W OLSZTYNIE



Świąty alternatywne

LUTY 2024

Kowalewicz

- spotkanie
z Komendantem

Kostrzewski

- co z dezubekizacją

Duda

- wniosek do ZER

Szłapa

- o nadziei i głupocie...

IGI

- informacje bieżące

Wybieralska

- wywiaduje

- Tajne blizny, cd.

Makowski

- o odprawie ostatniej

- o historii MO w albumie

Mirecki

- karnawał w Bolesławcu

Kobryń

- żegna Jana

Orkisz

- o zmarłym przyjacielu

Jastrzębski

- o smakach w miłości

Sieradzki

- o dinozaurach.

Przypominamy o możliwości przekazania 1,5% podatku

na rzecz SEiRP

KRS 0000043188



[Zobacz jak przekazać 1,5%](#)

Sprawą oczywistą jest, że opinie i poglądy zawarte w publikowanych w OBI tekstach, są osobistymi opiniami i poglądami ich autorów

Spis treści miesięcznika

3. -Spotkanie z Komendantem Wojewódzkim Policji w Olsztynie – Jerzy K. Kowalewicz

4. Co dalej z dezubekizacją – Leszek Kostrzewski

8. Wniosek w/s skargi kasacyjnej – Antoni Duda

12. Zmiany – „Triumwirat”

14. O nadziei, głupocie i... zepsutym autobusie – Marian Szłapa

17. Informacje IGI’ego - IGI

18. Wywiad – Aneta Wybieralska

21. Ostatnia odprawa – Bohdan Makowski

23. Karnawałowe spotkanie koła SEiRP w Bolesławcu – Zdzisław Mirecki

25. Ostatnie pożegnanie – Zbigniew Kobryń

26. Zmarł mój przyjaciel Jan Papis – Leszek Orkisz

28. „Tajne Blizny”, „Exodus” – Aneta Wybieralska

48. „Służba śledcza”, Rozdział III -

54. Historia gżyżkiej Milicji Obywatelskiej w albumach Bogdana Makowskiego
– Bogdan Makowski

56. Różne smaki miłości – Janusz Maciej Jastrzębski

57. Czy wyginiemy jak dinozaury? – Andrzej Sieradzki

W mediach.

Dezubekizacja 2024 .r

DEZUBEKIZACJA 2024 - Kancelaria Radcy Prawnego (zawartka.pl)

Waloryzacja emerytur 2024: ostateczna potwierdzona podwyżka 12,12 proc. [TABELA NETTO]

Waloryzacja Emerytur 2024 ★ Aktualna Prognoza [TABELA] W GazetaSenior.pl

Dodatki do emerytury. Zestawienie świadczeń.

Dodatki Do Emerytury: Pełne Zestawienie świadczeń Dla Seniorów [nowe Wyższe Kwoty Od 1 Marca 2024] - GazetaSenior.pl

Emerytura honorowa dla stulatków [dodatkowe 6,2 tys. co miesiąc] – komu należy się z urzędu, kto musi złożyć wniosek oraz zapowiadane zmiany w przepisach

Emerytura Honorowa, Czyli Dodatek Dla Najstarszych Seniorów [6,2 Tys. Co Miesiąc]. Jak Go Dostać? (gazetasenior.pl)

Dezubekizacja: Kto wygra w sądzie, może wpaść w próg podatkowy

Dezubekizacja: Kto wygra w sądzie, może wpaść w próg podatkowy - GazetaPrawna.pl

PANIE MINISTRZE! CZAS DZIAŁAĆ!

PANIE MINISTRZE! CZAS DZIAŁAĆ! (fssm.pl)





Uczestnicy spotkania w KWP Olsztyn w dn. 9 lutego 2024 r.
Od lewej: Andrzej Leszczyński - wiceprezes ZOW SEiRP w Olsztynie, Zenon Krajza - przewodniczący KŚ PZERI przy KWP, mł. insp. Paweł Krauz - Komendant Wojewódzkiej Policji w Olsztynie, Jerzy K. Kowalewicz - prezes ZOW SEiRP w Olsztynie, Bogdan Micek - prezes Koła SEiRP w Olsztynie, członek prezydium ZOW SEiRP w Olsztynie,

**STOWARZYSZENIE
EMERYTÓW I RENCISTÓW POLICYJNYCH
ZARZĄD ODDZIAŁU WOJEWÓDZKIEGO
W OLSZTYNIE**
10-521 OLSZTYN, ul. Dąbrowszczaków 41, Tel., 519 340 125
Olsztyn, dn. 12 lutego 2024 r.

**Pan mł. insp. PAWEŁ KRAUZ
Komendant Wojewódzkiej Policji w Olsztynie**

Szanowny Panie Komendancie!

W dniu 9 lutego 2024 roku uczestniczyłem w spotkaniu z Panem Komendantem wraz z innymi kolegami emerytami.
Kol. Andrzejem Leszczyńskim – wiceprezesem ZOW SEiRP Warmii i Mazur
Kol. Bogdanem Micek – prezesem Koła SEiRP w Olsztynie
Kol. Zenonem Krajzą – przewodniczącym Koła Środowiskowego PZERI przy KWP Olsztyn

W czasie, satysfakcjonującego nas spotkania, otrzymaliśmy od Pana zapewnienie wszelkich możliwych sposobów wsparcia naszej stowarzyszeniowej działalności, a zwłaszcza zainteresowania się możliwością wygospodarowania pomieszczenia z zasobów KWP Olsztyn, na godne prowadzenie biura naszego i innych stowarzyszeń emerytów policyjnych Olsztyna

Sądzimy, że z podobną przychylnością, jak Pana Komendanta, wykażą się także Komendanci Powiatów Warmii i Mazur w miejscowościach gdzie działają nasze Kola SEiRP.

Panie Komendancie!
To było DOBRE SPOTKANIE i czas pożytecznie spędzony.

Jeszcze raz, w imieniu pozostałych uczestników spotkania, dziękuję że znalazł Pan odrobinę swojego czasu i poświęcił go na spotkanie z przedstawicielami emerytów i rencistów policyjnych. Pańskiej już teraz, Warmii i Mazur.

Życząc Panu niezmiennych sukcesów w służbie, pozostaję z szacunkiem.

**PREZES
Zarządu Stowarzyszenia Emerytów i Rencistów Policyjnych
w Olsztynie
Jerzy Kowalewicz**

Adres korespondencyjny:
Komenda Wojewódzka Policji w Olsztynie, Sekcja Socjalna, 10-521 Olsztyn, ul. Partyzantów 6
Stowarzyszenie Emerytów i Rencistów Policyjnych
E-mail: zowseip_olsztyn@wp.pl
www: <http://seip.olsztyn.pl/>, <http://www.facebook.com/seipolsztyn.szwajlum>

Pierwsze spotkanie z Panem Komendantem Policji Warmińsko-Mazurskiej zostało zaaranżowane na prośbę Prezydium ZOW SEiRP w Olsztynie i KŚ PZERI.

Jako, że to było pierwsze spotkanie zależało nam, emerytom, by Pan Komendant zapoznał się z naszą działalnością integrującą byłych policjantów i z ich problemami.

Pan Komendant z uwagą wysłuchał przedstawionych problemów i propozycji współpracy z nami z zachowaniem już istniejących zasad.

Bardzo ważnym, niemal kardynalnym, problemem jest wyznaczenie przez Pana Komendanta pomieszczeń z zasobów Komendy Policji w Olsztynie na siedziby obydwu emeryckich stowarzyszeń.

Na spotkaniu zaprosiłem Pana Komendanta na Posiedzenie Prezesów Kół SEiRP Warmii i Mazur planowane na kwiecień br. Pan Komendant zapewnił mnie, że będzie obecnym.

Jerzy K. Kowalewicz

Co dalej z dezubekizacją?

Co dalej z dezubekizacją? Oto co zamierza rząd (wyborcza.biz)

Koalicja 15 października obiecała przywrócić pełne emerytury funkcjonariuszom, którym PiS drastycznie obciął świadczenia w wyniku dezubekizacji. Sprawdziliśmy, jak nowy rząd realizuje tę obietnicę. Szef MSWiA chce skorzystać ze specjalnej furtki w przepisach.

Leszek Kostrzewski (wyborcza.pl)

Punkt 20 Umowy Koalicyjnej rządu Donalda Tuska jest krótki. Zapowiedziano w nim „wprowadzenie rozwiązań przywracających prawa nabyte emerytów pobierających świadczenia na podstawie przepisów o zaopatrzeniu emerytalnym funkcjonariuszy”.

Mówiąc inaczej - nowy rząd zamierza "odkręcić" PiS-owską dezubekizację.

Ustawa dezubekizacyjna obowiązuje od 1 października 2017 r. Po obniżce świadczeń byli funkcjonariusze organów bezpieczeństwa PRL nie mogą dostawać więcej, niż wynosi średnia emerytura. Niektórym obniżono jednak świadczenia do emerytury minimalnej – dziś to ok. 1,4 tys. zł na rękę.

Nie ma znaczenia, że po

weryfikacji przeszli do pracy w Urzędzie Ochrony Państwa, policji czy innych służbach mundurowych i służyli wolnej Polsce.

Ustawa zakłada obniżki emerytur funkcjonariuszy służb i policjantów, którzy choć jeden dzień przepracowali w strukturach uznanych przez IPN za „organy państwa totalitarnego”. Ich katalog znacznie rozszerzono, dodając np. pracowników wydziałów łączności, policjantów, którzy w PRL przeszli szkolenia oficerskie, i funkcjonariuszy Biura Ochrony Rządu.

Protest przeciwko obniżeniu emerytur służbom mundurowym. Warszawa, 13 grudnia 2016 r. (Fot. Adam Stępień / Agencja Wyborcza.pl)



©AGENCJA wyborcza.pl

(Ciąg dalszy ze strony 4)

Zmniejszone emerytury mają też pracownicy MSW z departamentu PESEL, czyli ok. 200 programistów i informatyków, absolwentów informatyki Uniwersytetu Warszawskiego i Politechniki Warszawskiej, którzy opracowali Powszechny Elektroniczny System Ewidencji Ludności. Według MSWiA służyli na rzecz „totalitarnego państwa”.

Mundurowi piszą do MSWiA

Przestawiciele Federacji Stowarzyszeń Służb Mundurowych oraz Stowarzyszenia Emerytów i Rencistów Policyjnych właśnie napisali apel w sprawie dezubekizacji do szefa MSWiA Marcina Kierwińskiego zatytułowany "PANIE MINISTRZE! CZAS DZIAŁAĆ!".

Dalej czytamy (pisownia oryginalna): "Podobnie, jak miliony Polek i Polaków z ulgą przyjęliśmy zwycięstwo wyborcze i utworzenie Rządu przez koalicję partii demokratycznych. Stało się tak nie tylko dzięki wyjątkowej mobilizacji milionów Obywateli naszego Kraju, ale także za sprawą zaangażowania wielu środowisk i zorganizowanych grup społecznych, którym bliskie są zasady demokratycznego państwa prawnego. Z satysfakcją możemy stwierdzić, że środowisko byłych policjantów, żołnierzy i funkcjonariuszy służb mundurowych, a obecnie emerytów i rencistów, wniosło swój wkład w końcowy efekt wyborów i zatrzymanie widocznych już tendencji autorytarnych" - piszą sygnatariusze listu i zgłaszają konkretne postulaty. Oto trzy najważniejsze:

1. Bezzwłoczne wycofanie przez dyrekcję Zakładu Emerytalno-Rentowego

MSWiA z sądów apelacyjnych wszystkich wniesionych tam apelacji.

2. Bezzwłoczne wycofanie przez dyrektorkę ZER wszystkich skarg kasacyjnych wniesionych do Sądu Najwyższego na niekorzyść osób represjonowanych i poniechanie wnoszenia kolejnych

3. Przygotowanie i wdrożenie procedury rozpoznawania na szeroką skalę wniosków osób represjonowanych składanych do ministra spraw wewnętrznych i administracji w trybie art. 8a (poniżej wyjaśniamy, o czym mówi ten artykuł).

Specjalne uprawnienia ministra

W styczniu Donald Tusk na spotkaniu z mieszkańcami Siedlec obiecał jednemu z pokrzywdzonych przez dezubekizację, że „krzywdy zostaną naprawione”. Tusk uznał, że PiS wprowadził odpowiedzialność zbiorową bez badania, czy ktoś rzeczywiście prześladował opozycję czy Kościół.

Co może zrobić nowy rząd? Najłatwiej byłoby przygotować nową ustawę, która unieważniałaby obniżki emerytury w wyniku dezubekizacji. Problemem może być jednak prezydent Andrzej Duda, który zapewne ustawę by zawetował.

Dlatego stowarzyszenia mundurowych proponują inne rozwiązania. Jakie? Przywracanie pełnych emerytur na podstawie art. 8a ustawy dezubekizacyjnej. Pozwala on szefowi MSWiA wypłacać pełne emerytury, wystarczy, że z takim wnioskiem wystąpi do ministra funkcjonariusz, któremu zmniejszono świadczenie.

Są jednak pewne warunki. Ich służba w PRL musiałaby być „krótkotrwała”, a oni

(Ciąg dalszy na stronie 6)

(Ciąg dalszy ze strony 5)

sami musieliby „rzetelnie wykonywać zadania i obowiązki” w wolnej Polsce, „w szczególności z narażeniem zdrowia i życia”.

Te warunki są jednak tak niejednoznaczne, że właściwie minister ma tu pełną dowolność.

Już pod rządami PiS pokrzywdzeni emeryci wysłali ok. 5 tys. wniosków do ministra o przywrócenie pełnej emerytury. Prawie wszystkie zostały odrzucone. W wielu przypadkach minister nie podał nawet szczegółowego uzasadnienia swojej decyzji.

- Na razie w MSWiA nie wypracowano żadnych procedur, aby wykorzystywać art. 8a do przywracania pełnych emerytur. Dlatego domagamy się, aby w końcu uruchomiono odpowiednie procedury - mówi Jan Gaładyk ze Stowarzyszenia Emerytów i Rencistów Politycznych.

MSWiA ma też inne sposoby walki z dezubekizacją. Otóż może wycofać się z apelacji po wyrokach sądowych w I instancji, nakazujących wypłatę pokrzywdzonym funkcjonariuszom pełnych świadczeń.

- Obecnie 4,5 tys. osób czeka na rozpatrzenie apelacji. MSWiA mógłby wycofać się z odwołań, a tego nie robi, tłumacząc się, że musi dbać o "dyscyplinę finansów publicznych". Tyle że ciągnąc procesy i pisząc odwołania, resort naraża budżet państwa na jeszcze większe wydatki - dodaje Jan Gaładyk.

Zapytaliśmy MSWiA, czy zamierza speł-

nić postulaty stowarzyszeń mundurowych.

"Obecnie w MSWiA trwają prace w tym zakresie. Po przygotowaniu konkretnych rozwiązań zostaną one przedstawione opinii publicznej" - odpisał nam 14 lutego Wydział Prasowy Departament Komunikacji Społecznej MSWiA.

Będzie nowa ustawa

Jak się nieoficjalnie dowiadujemy, MSWiA zamierza powszechnie korzystać z art. 8a do przywracania pełnych emerytur. - Każda sprawa będzie traktowana jednak indywidualnie i tam, gdzie ewidentnie dany funkcjonariusz nie działał przeciwko opozycji czy Kościołowi, bo np. pracował w departamencie PESEL, będzie miał przywróconą pełną emeryturę. Właśnie trwają prace organizacyjne, aby cały proces ruszył - słyszymy od naszego informatora z rządu.

Niezależnie od tego, w rządzie rozważane jest przygotowanie nowej ustawy, która znosiłaby zapisy ustawy dezubekizacyjnej z 2017 r.

- Zdajemy sobie sprawę, że prezydent Duda może ją zawetować. Ale nie zwalnia nas to z obowiązku przywracania sprawiedliwości społecznej polegającej na przestrzeganiu zasady praw nabytych - mówi nasz informator.

Ustawa dezubekizacyjna obniżyła świadczenia ok. 40 tys. osób, w tym 8 tys. wdów i dzieci pobierających po funkcjonariuszach [rente](#) rodzinną.

10 tys. osób już zmarło, nie doczekawszy

(Ciąg dalszy na stronie 7)

się odzyskania emerytury. Ok 9 tys. funkcjonariuszy wygrało w sądzie zarówno w I, jak i II instancji i oni już pobierają pełną emeryturę.

4,5 tys. spraw czeka na wyrok w apelacji, kolejne 5 tys. spraw jest zawieszonych. A dlaczego jest zawieszonych? Bo ustawa dezubekizacyjna trafiła do Trybunału Konstytucyjnego, a część sędziów uznała, że dopóki TK nie wyda orzeczenia, nie będzie rozpatrywać pozwów.

A dlaczego TK nie wydaje wyroku? Pojawiają się przypuszczenia, że Julia Przyłębska nie jest pewna, czy decyzja będzie po jej myśli. Wszystko dlatego, że część sędziów trybunału ma przyznawać, iż dezubekizację uchwalono niezgodnie z prawem.

Na zmianę podejścia nowego rządu mogłoby też skorzystać kolejnych ok. 5 tys. emerytów, którzy w ogóle do sądu nie występowali.

Sąd Najwyższy a dezubekizacja

W sprawie dezubekizacji [wypowiedział się Sąd Najwyższy](#). 16 września 2020 r. siedmiu sędziów SN orzekło, że kryterium "służby na rzecz totalitarnego państwa" – jako podstawa obniżenia świadczeń – "powinno być oceniane na podstawie wszystkich okoliczności sprawy, w tym także indywidualnych czynów i ich weryfikacji pod kątem naruszenia podstawowych praw i wolności człowieka".

Wyrok Sądu Najwyższego oznacza, że nie można karać obniżeniem emerytury wszystkich tylko dlatego, że pracowali w danej instytucji – wymienionej w ustawie dezubekizacyjnej i zaliczonej do służby na rzecz totalitarnego państwa.

Po wyroku SN teraz w każdej sprawie sądy muszą badać, czy funkcjonariusz, pracując w danej instytucji, łamał prawa człowieka (a więc np. działał przeciwko opozycji czy Kościołowi).

Podobnie orzekł Naczelny Sąd Administracyjny, który wskazał, że sam fakt pełnienia służby bez względu na to, czy charakteryzowała się ona bezpośrednim zaangażowaniem w realizację zadań i funkcji państwa totalitarnego, czy też ograniczała się do zwykłych, standardowych działań – jest nie do zaakceptowania z punktu widzenia standardów demokratycznego państwa prawnego.

Do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu wpłynęły z kolei 23 skargi na dezubekizację. I już kilku Polaków wygrało przed trybunałem.

[Leszek Kostrzewski \(wyborcza.pl\)](#)



Od 2005 r. dziennikarz działu gospodarczego Gazety Wyborczej. Wcześniej dziennikarz w oddziale Gazety Wyborczej w Zielonej Górze. Zajmuje się m.in. zawiłościami polskiego systemu emerytalnego, demografią, problemami przedsiębiorców. Autor książek (razem z Piotrem Międzykorskim): "Łowcy milionów", "Fortuna po Polsku". Nominowany w konkursie Grand Press w kategorii Dziennikarstwo specjalistyczne.



Wniosek do Rzecznika Praw Obywatelskich w sprawie Pana Józefa Kordalskiego

W dniu 2 czerwca Prezes ZG SEiRP – Antoni Duda wystąpił do Rzecznika Praw Obywatelskich z wnioskiem o wystąpienie do Sądu Najwyższego z kasacją wyroku Sądu Apelacyjnego w Warszawie z 4 marca 2022 roku – sygn. akt III AUa 2284/21



**STOWARZYSZENIE EMERYTÓW I RENCISTÓW POLICYJNYCH
ZARZĄD GŁÓWNY**

02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 36/38

tel. (22) 6012913

www.seirp.pl sekretariat@seirp.pl

KRS: 0000043188 NIP: 851 244 26 79

L.dz. Zg-61/2022

Warszawa, 2 czerwca 2022 r.

BIURO RZECZNIKA PRAW OBYWATELSKICH

Npłynęło dnia

22.06.2022
[Signature]

**Pan dr hab. Marcin Wiącek
Rzecznik Praw Obywatelskich**

WNIOSEK

w sprawie rozważenia możliwości wniesienia skargi kasacyjnej do Sądu Najwyższego w sprawie ustalenia wysokości renty inwalidzkiej pana Józefa Kordalskiego.

Działając w imieniu Zarządu Głównego Stowarzyszenia Emerytów i Rencistów Policyjnych w Warszawie (ZG SEiRP - KRS 43188), zwracamy się do Pan Profesora z uprzejmą prośbą o rozważenie możliwości wystąpienia do Sądu Najwyższego ze skargą kasacyjną od wyroku Sądu Apelacyjnego w Warszawie z dnia 4 marca 2022 roku, sygn.. akt III AUa 2284/21 w sprawie wysokości renty inwalidzkiej pana Józefa Kordalskiego.

Pan Józef Kordalski korzysta z pomocy pełnomocnika / Michał Łuczak - Kancelaria Radcy Prawnego Czereśniowa 98 lok. 231, 02-485 Warszawa, tel. 501 744 881, e-mail: biuro@kancelarialuczak.pl /

UZASADNIENIE

Informacje ogólne przedstawiamy w uzasadnieniu do niniejszego wniosku, natomiast informacje szczegółowe w dołączonych do wystąpienia załącznikach.

Pan Józef Kordalski jest byłym milicjantem, który został przyjęty do

służby i mianowany milicjantem Komisariatu Grodzisk Mazowiecki z przydziałem do Komendy Powiatowej Milicji Obywatelskiej w Grodzisku Mazowieckim z dniem 25 listopada 1950 roku. Swoją służbę pełnił na najniższych stanowiskach milicyjnych do 1961 roku, kiedy to decyzją organu emerytalno-rentowego z dnia 14 września 1961 r. przyznano mu prawo do milicyjnej renty inwalidzkiej od 1 czerwca 1961 roku i zaliczono go do III grupy inwalidów w związku ze służbą w Milicji Obywatelskiej. Odtąd ze względu na brak możliwości podjęcia pracy spowodowany złym stanem zdrowia jego źródłem utrzymania było to niewielkie świadczenie rentowe.

Po ponad 56 latach pobierania renty inwalidzkiej dyrektor Zakładu Emerytalno-Rentowego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji w Warszawie decyzją z dnia 11 sierpnia 2017 r. (ozn. KRI-1107572/WA), działając na podstawie ustawy z 16 grudnia 2016 r. o zmianie ustawy o zaopatrzeniu emerytalnym funkcjonariuszy Policji, Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, Agencji Wywiadu, Służby Kontrwywiadu Wojskowego, Służby Wywiadu Wojskowego, Centralnego Biura Antykorupcyjnego, Straży Granicznej, Biura Ochrony Rządu, Państwowej Straży Pożarnej i Służby Więziennej oraz ich rodzin (Dz.U. z 2016 r. poz. 2270), w związku z informacją z Instytutu Pamięi Narodowej o przebiegu służby Józefa Kordalskiego na rzecz totalitarnego państwa, dokonał ponownego ustalenia wysokości policyjnej renty inwalidzkiej pana Józefa Kordalskiego, określając ją od dnia 1 października 2017 r. na kwotę 1.000,00 zł. brutto z dodatkowo przysługującym do renty inwalidzkiej dodatkiem pielęgnacyjnym w kwocie 209,59 zł.

Przed wydaniem krzywdzającej decyzji wysokość renty inwalidzkiej Józefa Kordalskiego poczynszy od 1 marca 2017 r. zgodnie z decyzją waloryzacyjną z dnia 27 lutego 2017 r. określono na kwotę 2.469,68 zł. brutto.

Sąd Okręgowy w Warszawie XIII Wydział Pracy i Ubezpieczeń Społecznych po rozpoznaniu w dniu 2 listopada 2021 r. w Warszawie na posiedzeniu niejawnym sprawy Józefa Kordalskiego przeciwko Dyrektorowi Zakładu Emerytalno-Rentowego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji w Warszawie, sygn. akt XIII1U 15359/18, wydał wyrok zmieniając zaskarżoną decyzję i ustalił Józefowi Kordalskiemu prawo do policyjnej renty inwalidzkiej w wysokości i na zasadach obowiązujących przed dniem 1 października 2017 r.;

Uzasadniając wyrok Sąd stwierdził m. in., że: „Organ rentowy nie wykazał jednak - poza samym faktem służby w wyżej wymienionych jednostkach - że odwołujący rzeczywiście pełnił w nich służbę na rzecz totalitarnego państwa. Podkreślić bowiem należy, że Józef Kordalski nie zajmował się zwalczaniem opozycji demokratycznej, związków zawodowych, stowarzyszeń, kościołów i związków wyznaniowych, łamaniem prawa do wolności słowa i zgromadzeń, prawa do życia, wolności, własności i bezpieczeństwa obywateli.

Jego służba w okresie objętym informacją przedstawioną przez Instytut Pamięci Narodowej dotyczyła bowiem czynności szeregowego milicjanta, obejmujących pełnienie dyżurów w komisariacie oraz patrolowanie.” i zakończył konkluzją: „Wobec powyższego, Sąd opierając się na rozważaniach zawartych w treści uchwały Sądu Najwyższego, sygn. III UZP 1/20, co do zakresu podmiotowego art. 13b, związanych z wykładnią nieostrego pojęcia „służby na rzecz państwa totalitarnego” i przeprowadzając przez jej pryzmat postępowanie dowodowe kontradiktoryjne, doszedł do wniosku, że brak jest dowodów na to, aby odwołujący pełnił służbę na rzecz totalitarnego państwa i dopuścił się przed 1 sierpnia 1990 roku działań wymierzonych przeciwko opozycji demokratycznej, związkom zawodowym, stowarzyszeniom, kościołom, łamania prawa do wolności słowa i zgromadzeń, gwałceniu prawa do życia, wolności, własności i bezpieczeństwa obywateli, będących podstawowymi prawami i wolnościami człowieka. Wobec czego stwierdzić należy, że w niniejszym przypadku brak było przesłanek do redukcji wysokości świadczenia Józefa Kordalskiego.”.

Niestety ZER MSWiA nie zważając stan faktyczny ustalony przez Sąd Okręgowy w tym na wiek, stan zdrowia, chorobę nowotworową i wiele innych chorób które sprawiają, że Józef Kordalski jest niezdolny do samodzielnej egzystencji, złożył apelację w wyniku której Sąd Apelacyjny w Warszawie działając w składzie jednoosobowym oddalił odwołanie zainteresowanego.

Pan Józef Kordalski w odpowiedzi na apelację ZER MSWiA wnosił o jej oddalenie i podkreślał: „Biorąc pod uwagę przytoczone wyżej okoliczności, w mojej ocenie, apelacja organu rentowego nie powinna być uwzględniona jako całkowicie bezpodstawna. Treść wyroku Sądu I instancji jak i jego uzasadnienie jest w pełni prawidłowe.

Sąd w toku dowodzenia ustalił, że nie pełniłem służby na rzecz państwa totalitarnego, gdyż nie łamałem praw człowieka, nie zwalczałem związków zawodowych, związków wyznaniowych ani opozycji. Moja służba odpowiadała w zakresie obowiązków takiej, która jest świadczona w każdym państwie bez konotacji z czynnościami na rzecz państwa totalitarnego.

Pragnę po raz kolejny wskazać, że bez udowodnienia jakiegokolwiek winy, zastosowano wobec mnie, byłego funkcjonariusza Milicji Obywatelskiej, represje surowsze niż przewidziane w ustawie emerytalnej dla funkcjonariuszy skazanych wyrokiem sądu za przestępstwa popełnione w związku z wykonywaniem nielegalnych czynności służbowych. Takie drastyczne i bezzasadne obniżenie mojej niewielkiej renty inwalidzkiej przyznanej 60 lat temu w związku ze służbą w MO, nie tylko degraduje moje życie ale godzi w zasadę demokratycznego państwa prawnego, zasadę sprawiedliwości społecznej, zapisaną w art. 2 Konstytucji RP i wynikającą z niej ochronę praw słusznie nabytych i przyznanych na podstawie prawnych orzeczeń.

Tezy o tym, że w mojej sprawie nie ma żadnego znaczenia to czy zwalczałem opozycję, związki zawodowe, stowarzyszenie, kościoły, czy łamałem prawa do

wolności słowa i zgromadzeń, czy też gwałciłem prawa do życia, wolności, własności i bezpieczeństwa obywateli, opisane w uchwale Sądu Najwyższego z 16 września 2020 roku, mają niepoważny charakter populistyczny, sprzeczny z zasadami logiki i zwykłej ludzkiej uczciwości.

Moja służba odpowiadała w zakresie obowiązków takiej, która jest świadczona w każdym państwie bez jakichkolwiek konotacji z czynnościami na rzecz państwa totalitarnego.

Mając na uwadze wskazane wyżej okoliczności i argumenty natury prawnej, wniesiona przez ZER MSWiA apelacja nie powinna odnieść żadnego skutku. Zaskarżony wyrok oparty jest na prawidłowych ustaleniach faktycznych i odpowiada prawu, zaś apelacja nie zawiera usprawiedliwionych podstaw. Tak jak to przekonująco wykazał Sąd Okręgowy wyrok ma swoje oparcie zarówno w przepisach Konstytucji RP, jak i przepisach Konwencji o Ochronie Praw Człowieka i Podstawowych Wolności.

Sąd Apelacyjny w Warszawie sporządził uzasadnienie do wyroku z dnia 4 marca 2022 roku – uzasadnienie wpłynęło do pełnomocnika procesowego Józefa Kordalskiego w dniu 2 czerwca 2022 roku.

Składamy niniejszy wniosek w przekonaniu, że Pan Profesor uwzględni wagę problemu i uzna za celowe wystąpienie do Sądu Najwyższego z kasacją od wyroku Sądu Apelacyjnego w Warszawie z 4 marca 2022 roku – sygn., akt III AUa 2284/21.

I WICEPREZES
ZARZĄDU GŁÓWNEGO
Jerzy Skrypi

PREZES
ZARZĄDU GŁÓWNEGO
Artur Bida

Załączniki:

Kopia wyroku Sądu Okręgowego w Warszawie z 2 listopada 2021 roku – sygn.. akt XIII 1U 15359/18

Kopia wyroku Sądu Apelacyjnego w Warszawie z 4 marca 2022 roku – sygn.. akt III AUa 2284/21

Zmiany

Od jakiegoś czasu możemy obserwować zwiększoną aktywność stowarzyszeń mundurowych w sprawach obniżonych świadczeń emerytalno-rentowych byłych funkcjonariuszy Policji oraz innych służb.

Ale na tej zwiększonej „aktywności” się kończy, bo sposób działania nie zmienił się od grudnia 2016 roku.

Nieodparcie nasuwa się skojarzenie z przełomem lat 60 i 70 ubiegłego wieku, kiedy prasa informowała o odnajdywaniu na wyspach Pacyfiku żołnierzy japońskich, którzy nie wiedzieli o tym, że wojna (druga światowa) skończyła się ponad 20 lat wcześniej. Fakt ten był dla nich całkowitym zaskoczeniem. Usprawiedliwiał ich brak dostępu do informacji oraz strach przed pojmaniem.

Podobnie zachowują się „nasze” stowarzyszenia. Od wyborów minęły już cztery miesiące, a ich władze wydają się być nadal w szoku. Jakby nie mogły uwierzyć, że 15 października ubiegłego roku zmieniła się władza, a od lipca 2020 roku Prezydentem RP nadal jest Duda, który zawetuje wszelkie ustawowe zmiany przywracające świadczenia emerytom mundurowym.

Żołnierze armii cesarskiej wrócili do domów i rozpoczęli nowe życie, ale stowarzyszenia wycofały się do dżungli, gdzie wśród licznych konferencji, spotkań, prezen-

tacji i obrad czują się pewnie i bezpiecznie. Zajrzyjmy do tej dżungli:

Federacja SSM

15 stycznia 2024 - **„WICEMINISTER OBRONY NARODOWEJ W KOŁOBRZEGU” - odbyło się otwarte spotkanie** Podsekretarza Stanu w Ministerstwie Obrony Narodowej Stanisława WZIĄTKA z przedstawicielami środowisk mundurowych. Tematyka i dokonania dość istotne, bo porządkujące (deklaracje) sprawy współdziałania MON (wojska) z organizacjami emeryckimi. Spotkanie z inicjatywy Zarządu Głównego Związku Emerytów i Rencistów Straży Granicznej; Szczegóły tu: <https://fssm.pl/wiceminister-obrony-narodowej-w-kolobrzegu/> stan na 2024 02 12;

17 stycznia 2024 - **„RZECZOWE ROZMOWY W MSWiA” ..”...Celem spotkania było zaprezentowanie postulatów i oczekiwań w zakresie likwidacji skutków ustawy represyjnej z 16 grudnia 2016 r. wprowadzenia rozwiązań przywracających prawa nabyte emerytów pobierających świadczenia na podstawie. ...Nakreślono także możliwą perspektywę**

czasową realizacji planowanych działań ...”. Z konkluzją ostateczną: „...Z chwilą wypracowania w MSWiA, przy udziale organizacji i środowisk emerytów mundurowych, optymalnych rozwiązań prawnych, bez zbędnej zwłoki opublikujemy na stronie FSSM stosowne informacje ...”.szczegóły tu: <https://fssm.pl/rzeczowe-rozmowy-w-mswia/> stan na 2024 02 12;

01 luty 2024 - **„POSIEDZENIE PREZYDIUM ZARZĄDU FEDERACJI”** - w efekcie obrad ciekawe wnioski: „...Wszyscy zgodzili się, co do braku możliwości przyjęcia na obecnym etapie rozwiązania ustawowego znoszącego wszelkie negatywne skutki ustawy represyjnej z 16 grudnia 2016 r. „ oraz ewenement działania w postaci stwierdzenia: „Prezydium Zarządu Federacji zostało zobowiązane do wystosowania pisemnego wystąpienia do Pana Ministra Marcina Kierwińskiego, w którym ponownie należy zwrócić uwagę na pilną potrzebę podjęcia określonych działań, jednocześnie wskazując możliwości przyjęcia już teraz rozwiązań, które z wielką nadzieją są oczekiwane przez wszystkie środowiska emerytowanych funkcjonariuszy, a zwłaszcza tych tak okrutnie doświadczonych regulacjami ustawy represyjnej. „.

(Ciąg dalszy na stronie 13)

(Ciąg dalszy ze strony 12)

<https://fssm.pl/informacja-z-posiedzenia-prezydium-zarzadu-federacji/>

(stan ze strony 2024 02 12);

08 lutego 2024 – na stronie od 12 lutego 2024 - „PANIE MINISTRZE! CZAS DZIAŁAĆ! list do Ministra Kierwińskiego <https://fssm.pl/panie-ministrzeczas-dzialac/> - list podpisany przez Przewodniczącego Federacji i Wiceprezesa SEiRP.

(stan ze strony 2024 02 12);

*

Odnotujmy także, że odbyły się spotkania z Wiceministrem (SWiA) oraz Dyrektorką ZER MSWiA, które wniosły w zasadzie jedynie to, że się odbyły.

Przedstawiono takie same banały, jak rok, dwa lata temu czy 8 lat temu. Takie same, lekceważące i obraźliwe traktowanie pokrzywdzonych. Bo czym innym jest użyte w liście Federacji „Panie Ministrze! Czas działać!”? Bądź sformułowania typu „Odarto Ich z honoru i godności”? Podobnego sformułowania nie spotkamy w żadnym sejmowym, czy senackim stenogramie z prac nad ustawą gminową. Żaden polityk Zjednoczonej Prawicy nie nazwał nas publicznie ludźmi bez godności i honoru. Ale Federacja lub inni nasi obrońcy? Czemu nie? I to wielokrotnie. Fajnie brzmi. I podkreśla ogromną wagę tych spotkań.

*

Nasze Koleżanki i Koledzy na wielu grupach funkcjonujących na FB od kilku już miesięcy rzucają koncepcjami rozwiązań prawnych:

- a to wycofania apelacji z sądów przez ZER,
- a to skorzystania ze ścieżki „8a ustawy z 16. 12. 2016 r.

Gremia przywódcze stowarzyszeń przechwyciły te pomysły i przypisały je sobie. Poza tym



stać je tylko na stwierdzenie, że (cyt.): „Z chwilą wypracowania w MSWiA, przy udziale organizacji i środowisk emerytów mundurowych, optymalnych rozwiązań prawnych, bez zbędnej zwłoki opublikujemy na stronie FSSM stosowne informacje”. A co ze wznowieniem tysięcy zawieszonych postępowań (art. 177§1, ust 3¹ KPC)?

Co z wycofaniem zapytania do Trybunału Przylębskiej?

Jak długo jeszcze władze stowarzyszeń miziać się będą z kierownictwem ZER-u, które razem ze swoimi reprezentującymi Zakład w sądach radcami prawnymi, już dawno powinno znaleźć się na zielonej trawce?

Może ktoś odważny zażąda ich natychmiastowej dymisji?

*

Panie i Panowie, Aktywistki i Aktywiści, czyżby zabrakło Wam pary i koncepcji?

Widzę, że tegoroczne apele o 1,5% odpisy już są. Aż gęsto od nich w necie. Czyli myślicie. Ale raczej o kasie, bo na działania już nie ma pomysłu. I działań tych nie ma. Jako dowód niech posłuży fakt, że rozmawiano z wieloma urzędnikami. Fajnie. Ale pismo do Ministra Kierwińskiego poszło dopiero 8 lutego.

*

A wielu Naszych umiera i tkwi w biedzie.

Nie czytacie wpisów na „naszych” grupach na FB. A wynika z nich, że następuje diametralna zmiana w wyrażaniu poglądów na działanie central.

Zmiana w kierunku wzrostu ocen negatywnych, „Panie i Panowie Magnaci”. Negatywnych ocen nie tylko Was, ale także Waszych, a po części i naszych, stowarzyszeń.





O nadziei, głupocie i ... zepsutym autobusie.

O nadziei, głupocie i ... zepsutym autobusie. - Bractwo Mundurowe RP

17 lutego br. Mietek Malicki, w swojej alocucji do cyt. „rzeczowego podsumowania aktywności stowarzyszeń mundurowych, z naciskiem na godne podziwu ignorowanie radykalnie zmienionej rzeczywistości”, zaprosił do lektury w witrynie: <https://igiifp.github.io/assets/files/>. Przeczytałem bez jakichkolwiek emocji i zaskoczenia. Zwroty kluczowe? Bardzo proszę: [...], ale na tej zwiększonej aktywności się kończy, bo sposób działania nie zmienił się od grudnia 2016 r. ...od wyborów minęły już cztery miesiące, a ich władze wydają się być nadal w szoku. [patrz władze stowarzyszeń mundurowych]. odnotujmy także, że odbyły się spotkania z Wiceministrem SWiA oraz Dyrektorką ZER MSWiA... które wniosły w zasadzie jedynie to, że się odbyły] i tak dalej i tym podobnie. W treści dokumentów sygnowanych przez tzw. Triumwirat Plus wyszczególnione zostały także identyfikowane przez tą grupkę osób, oczekiwania środowiska represjonowanych i kluczowe narzędzia pozwalające na zresetowanie skutków quasi ustawy z dnia 16 grudnia 2016 roku.

Dlaczego przywołałem ten właśnie artykuł? Ponieważ ukazuje punkt widzenia, a właściwie deformację oceny aktualnej sytuacji przez autorów tego tekstu, ale co gorsza eskalowanie negatywnych emocji w stosunku do tych wszystkich, którzy tą właśnie rzeczywistość starają się zmienić. Nie dla pustej polemiki, ale dla dobra tych wszystkich, którzy przez długie siedem lat czekali i czekają nadal na sprawiedliwość, należy obnażać półprawdy i polemizować z rodzimymi „antykastowcami” i hejterami.

Ale po kolei. Uporządkujmy trochę chaos. Pisowski mechanizm odwracania znaczenia słów, oraz przypisywanie „innym” swoich własnych cech, w ciągu prawie dekady głęboko przeniknął do świadomości i praktyki społecznej. Dotyczy to także naszego środowiska. Nie obawiam się weryfikacji, ponieważ tak jak garstka upokorzonych przez państwo pispolskie, stanąłem twarzą w twarz z bezprawiem i na ile potrafiłem, podjąłem walkę z reżimem.

Wracając do moich adwersarzy. W rzeczywistości to ich sposób myślenia, nie zmienił się od grudnia 2016 roku, a może od 2009 roku. To wszystkie wydarzenia, eventy, spotkania, na które pluł na łamach dostępnych publikatorów, co gorsza doszukując się w intencjach aktywistów wszystkiego co najpodlejsze, doprowadziły nas do 2024 roku. Aby nie było jakichkolwiek wątpliwości, ta refleksja nie dotyczy jedynie współtworzonej przeze mnie organizacji, która liczy niewiele ponad stu aktywistów, ale także innych związków i stowarzyszeń, federacji i osób spoza środowiska mundurowego. Cenię każde działanie i szanuję każdą osobę, która angażując swój czas i swoje środki finansowe, stara się zmienić rzeczywistość na lepszą. Po przeczytaniu wspomnianego wcześniej artykułu „rzeczowego podsumowania”, z zażenowaniem i rozbawieniem, przeczytałem wcześniejszą twórczość tego gremium. Dowiedziałem się, że spotkania z Wiceministrem SWiA miały charakter towarzyski a brak merytorycznych informacji, był związany z ich pozornością i ukrytymi rzeczywistymi celami. Podejmując się działalności społecznej, pokazując swoją twarz i przedstawiając swoje poglądy w przestrzeni publicznej, trzeba być odpornym na hejt. Mam tego świadomość. Ci którzy znają mnie osobiście wiedzą, że niełatwo mnie złamać. Wiele razy pisałem o tym, że wierząc w cel, będę bezwzględnie walczył także z tymi, którzy działają na szkodę naszego środowiska „od środka”. Mam prośbę, szczególnie do tych, którzy tak ochoczo lajkują pod postami czy komentarzami „rodzimej antykasty”. Przeczytajcie uważnie teksty na stronie tzw. IGI oraz posty i komentarze tej grupy. Zastanówcie się, dlaczego w ich treści nie ma pozytywnego przekazu. Dlaczego nie znajdziecie tam nawet cienia korzystnych ocen środowisk i osób podejmujących od lat działania, także w Waszym imieniu. Spróbujcie skonstatować, czy taki przekaz i narracja cokolwiek buduje, tworzy? Nie dajcie się zwieść pokretnym deklaracjom, że celem ta-

(Ciąg dalszy na stronie 15)

(Ciąg dalszy ze strony 14)

kiej narracji jest mobilizacja do działania. Uważacie, że to co „oni” robią, ma coś wspólnego z rzetelnym i obiektywnym informowaniem? Do tego wątku wrócę jeszcze na końcu artykułu.

W ciągu tych siedmiu długich lat, poznałem osobiście setki z Was także w działaniu. Jestem więc zobowiązany, aby przekazać Wam dobre wieści i dać nadzieję. Ci którzy czytają teksty na naszych witrynach internetowych, pamiętajcie pewnie, że informowałem o przekazaniu do MSWiA, pisemnego opracowanie podstawowych kierunków działań, które powinny zostać niezwłocznie wdrożone, aby rozpocząć proces odwracania skutków bezprawia legislacyjnego pis. Te kwestie zostały podane audytowi. Aby uniknąć jakichkolwiek zarzutów, budowania marki Bractwa, kosztem innych organizacji zasygnalizuję jedynie, że było to jedno z wielu działań naszego środowiska i organizacji, które je reprezentują. Cemu miało służyć spotkanie z panią Zdrodewską, niestety jeszcze Dyrektorem ZER MSWiA? Przekazaliśmy swoje żądania oparte na przygotowanych przez Zespół mec. Anny Oszczędy materiałach. Po co? Po to, aby w odpowiednim momencie to wykorzystać. Stoimy na stanowisku, że pani Dyrektor przekroczyła swoje uprawnienia i nie dopełniła obowiązków, co musi w naszej ocenie, w przyszłości skutkować postępowaniem karno-procesowym. To działanie miało także inne cele, o których pewnie za kilka miesięcy będziemy mogli porozmawiać. Piszę o tym, aby zadać kłam dyrdymałom publikowanym w przestrzeni internetowej. Biorąc pod uwagę, fakt, że tegoroczne spotkania odbywały się w zamkniętych, hermetycznych wręcz składach osobowych, twierdzenia autorów „sensacyjnych newsów”, są oparte na zakłóconej intuicji emocjonalnej, nadwyreżonej nieprzepracowanymi w przeszłości deficytami. Autorzy „antykasty”, karmiąc Was odmiennianymi we wszystkich przypadkach słowami o pozorności działań i ich bezskuteczności, odbierają nadzieję najslabszym. Nie wierzcie im. Świadomie albo z braku wiedzy na temat faktycznych działań, rozmijają się z prawdą. Powtórzę, to co wielokrotnie

pisalem. Kierownictwo MSWiA, w tym Wiceminister Wiesław Szczepański to osoby, które robią i zrobią dużo, aby oddać Wam sprawiedliwość. Mogłbym teraz skupić się na faktach i opisać jakie czynności są prowadzone a jakie nie są, ale byłoby to zaprzeczeniem logiki, pomijając już fakt poufności tego etapu działań. W „twórczości” rodzimej antykasty, słowo poufności profilowane jest jako parawan pozorności i pojawia się bardzo często. Taka interpretacja jest po prostu kłamliwa. Czy los wszystkich czekających na sprawiedliwość, rozstrzygnie się w najbliższych miesiącach? Z całą pewnością nie. Ale to co w nich nadejdzie, będzie prawdziwą dobrą zmianą dla całego naszego środowiska. Jestem zwykłym człowiekiem, jednym z Was. Zaufajcie mi proszę i uwierzcie, że rzeczywistość nie jest dychotomiczna, czarno-biała, ale najczęściej składa się z odcieni szarości. Musicie w to uwierzyć, ponieważ nadzieja jest potrzebna szczególnie Wam. Obdarcie Was z nadziei i karmienie półprawdami, może spowodować, że nie doczekacie zmiany i elementarnej sprawiedliwości, na którą zasługujecie.

Jedną z proponowanych przez wspomnianą grupkę osób aktywności, miałyby być pikietą przed wjazdem do kompleksu budynków MSWiA. Odpowiedzcie sobie jakie cele realizowałyby takie działanie? Osiem lat przestępczych rządów pis, nie wygenerowało tylu bezprzykładnie bohaterских postaw co kilka tygodni władzy koalicji partii demokratycznych. Organizacje rolników, które w czasie arogancji, bezmyślności i złodziejstwa poprzedniej władzy nie protestowały, teraz paraliżują kraj. Do protestów mają zamiar przystąpić górnicy, myśliwymi i cholera wie kto jeszcze. A wszystko po to, żeby jeszcze raz spróbować odwrócić kartę i dać szansę pisowskiej mafii, na uniknięcie odpowiedzialności i być może powrotu do władzy. Wpisujecie się w to? A przecież aktualne działania to początek naszej pracy. Czeką nas przygotowanie założeń nowej regulacji ustawowej. Wykorzystanie czasu do końca kadencji Prezydenta Dudy, aby przekonać naszych partnerów o konieczności twardych zapisów dotyczących zadośćuczynie-

(Ciąg dalszy na stronie 16)

nia represjonowanym i zapisów „ochronnych” przed takimi działaniami w przyszłości. Aby wrócić do haniebnej ustawy z 2009 roku i uzyskać kompromis w kontekście zapisów przyszłej regulacji. To tylko próbki wyzwań. Aby je zrealizować musimy współpracować, przekonywać a nieraz zaakceptować kompromis. Zgadzam się z tym, że czas działa w naszym przypadku inaczej. Wszyscy chcielibyśmy błyskawicznych efektów, ale też wszyscy zdajemy sobie sprawę z tego, że będą to procesy przebiegające w czasie dłuższym niż nasze oczekiwania. Grafomania i populistyczne hasła, niczego w tej sprawie nie zmienia.

Czytając tzw artykuły na stronie IGI-iego, zauważyłem jeszcze jedną powtarzalność. W tekstach przewijają się nazwiska polityków, działaczy, organizacji wymieniane we wszystkich możliwych przypadkach. W jakim kontekście pisać nie muszę. Oczywiście jest Tusk, Czarzasty, Rozenek, nazwiska działaczy federacji i stowarzyszeń, brakuje tylko tych które w takim miejscu powinny być wyeksponowane, takich jak Kaczyński, Błaszczak, Szydło, Czarotowski i dziesiątki innych. W tym zaciętrzeniu łatwo zapomnieć, kto jest faktycznym oprawcom a kto sprzymierzeńcem. Kto stoi za cierpieniem i śmiercią emerytów mundurowych, a kto stara się zmienić ten stan rzeczy.

I na koniec zwrócę się ad personam do Mietka Malickiego. Odpowiadając na komentarz naszej koleżanki posługującej się Nickiem Alicja Ala, który został opublikowany w Komitecie Politycznych Rent i Emerytur woj. Dolnośląskiego, napisałeś między innymi cyt. [...] doskonale wiesz, że nigdy nie „tylko” marudzieliśmy. Nasze pisanie, nie jest krytykanctwem, bo zawsze poza krytyką, zawieraliśmy jakieś koncepcje / pomysły [...]. Przykro mi Mietku, po raz kolejny rozminąłeś się z prawdą. Źródeł tego co nazywasz, koncepcjami i pomysłami, należy się doszukiwać w starej jak świat anegdocie, w której do kierowcy który nie może uruchomić silnika pojazdu, podchodzi osoba, twierdząca, że wie co się stało. Zirytowany kierowca pyta w końcu: co się stało? Na co słyszy odpowiedź: autobus się zepsuł.

Napisałeś także, że cyt. [...] my nie znamy polityków [...]. Jak to się ma do zarzutu, że od

2016 roku, nic się nie wydarzyło. Sama „znajomość” niczego nie daje, ale odpowiednio kierunkowana, jak najbardziej tak. Skąd „my” ich znamy? No i w końcu, jeżeli jesteś tak zdeteminowany, aby pomagać innym, dlaczego nie zrobiłeś niczego, aby mieć jakikolwiek wpływ na zmianę rzeczywistości? Odpowiedz sobie sam i zastanów się, ile w tym wszystkim chęci pomocy innym, a ile niechęci do innych. Nie poznaliśmy się osobiście, wiele razy rozmawialiśmy telefonicznie. Szanuje Cię jako człowieka i starszego kolegę. Gdybym jednak zaakceptował twój punkt widzenia, musiałbym wyrzucić do kosza, wszystko co sam i wspólnie z innymi zrobiłem. Wierzę, że Twoją intencją jest pomoc innym i szanuję to, ale proszę Cię o zweryfikowanie przekazu i danie ludziom nadziei. Działanie konstruktywne a nie destrukcyjne. Ponieważ jedynie to pierwsze jest potrzebne, tak poranionemu i skrzywdzonemu środowisku, jak nasze.

Zespół Skaldowie w swoim utworze „Medytacje wiejskiego listonosza” śpiewał, że ludzie listy piszą zwykle, polecane. To nie listy do MSWiA, bądź innych agend rządzącej aktualnie ekipy, zmieniają los dramatycznie skrzywdzonych przez państwo pis. Zmieniają to mądre, przemyślane i metodyczne działania. Są one uzależnione od współpracy i kompromisu pomiędzy osobami i organizacjami reprezentującymi nasze środowisko i przychylnymi nam politykami rządzącej koalicji 15 października.

Kiedyś, na jednym ze spotkań powiedziałem, że różnimy się w diagnozie sytuacji, ocenie dróg realizacji, ale łączy nas wspólny cel. Swojego zdania nie zmieniłem. Potrzebujemy szacunku do siebie i swoich partnerów. Szacunku do drugiego, w którym będziemy odnajdywali dobre intencje, a nie szukali wszystkiego co najgorsze. Ad rem odpisu podatkowego. O wsparcie prosimy ludzi akceptujących nasz punkt widzenia i wrażliwość, drogi Triumwiracie Plus. Używanie pomiędzy wierszami innych sugestii, jest poprostu nieuczciwe.

Pozdrawiam moich adwersarzy i Was koleżanki i koledzy. Wytrzymajcie jeszcze trochę. Do zobaczenia.

Mario.

Informacje IGI'ego

[https://igiifp.github.io/Informacje.html?](https://igiifp.github.io/Informacje.html?fbclid=IwAR0TLxiTsm6_AfccFzMVkTGMe8qxj0Vsuh16Tc2RxGdkIrjGzMxepvbb_Ik)

[fbclid=IwAR0TLxiTsm6_AfccFzMVkTGMe8qxj0Vsuh16Tc2RxGdkIrjGzMxepvbb_Ik](https://igiifp.github.io/Informacje.html?fbclid=IwAR0TLxiTsm6_AfccFzMVkTGMe8qxj0Vsuh16Tc2RxGdkIrjGzMxepvbb_Ik)

2024-02-08

Sprawy emerytalne mundurowych, z punktu widzenia wojskowych. Na początek **informacja** o autorach dokumentu, który przeczytacie **tutaj**. Można obejść się bez pokątnych spotkań, "przekazywania" czy "informowania"? Można. Można pisać bezpośrednio do osoby dzierżącej władzę, a nie do niczego-nie-mogących, leniwych pośredników? Też można. Nie zrażajcie się długością pisma. Koniecznie przeczytajcie.

2024-02-13

Dzisiaj **DRUGA** miesięcznica powołania nowego, Rządu, a tym samym miesięcznica "przywracania praw nabytych emerytów pobierających świadczenia na podstawie przepisów o zaopatrzeniu emerytalnym funkcjonariuszy" oraz miesięcznica wejścia ludzi *chonoru* Lewicy do Rządu, w którym "prawa nabyte, które zostały zabrane", **nie wrócili** do służb mundurowych, chociaż Czarzasty i spółka uroczyście zapewniali, że Lewica do takiego Rządu nie wejdzie. Zapewnienia zapewnieniami, ale stołki i namiastka władzy ważniejsze. Szczęśliwi ci, którzy świadczenia odzyskali. Pozostali poczekają jeszcze długo, bo a to nie ma kasy w budżecie, a to "klimat" niesprzyjający, a ogólnie mówiąc, nie ma chęci i pomysłu. Chociaż nie, jest "woła polityczna". A ta droższa każdym pieniędzy.

2024-02-15

Dwa w jednym. **Listy** jednego z pokrzywdzonych, do Kierwińskiego i do Zdrodowskiej. I szkoda tylko, że tak niewielu zadaje sobie trud zrobienia czegokolwiek, korzystając z prostych i dostępnych dla wszystkich środków, podczas gdy pozostali wyłącznie recenzują, dają *lajki* i... czekają, aż ktoś znowu coś za nich zrobi.

2024-02-16

Dzisiaj **CZTERDZIESTA DRUGA** miesięcznica „**upominania się**” Rozenka, **Bałta** i pozostałych eurodeputowanych Lewicy o włączenie „*haniebnej ustawy represyjnej do listy naruszeń prawa i podstawowych zasad Unii Europejskiej*”. Ja oraz podobni mi, zmanipulowani przez *eine besondere Gruppe aus Rakowiecka* frustraci pytamy więc: czy na korytarzu Parlamentu Europejskiego jest już wystawa poświęcona rzeczonej ustawie oraz losom pokrzywdzonych? Czy europosłowie S&D oraz pozostałych frakcji zapoznani już zostali z „*tą problematyką*”? Czy zapoznano ich również z filmami Andrzeja Dziedzica? Czy dokonano już sprostowania „*wielu podawanych dezinformacji ze strony Prawa i Sprawiedliwości*” i czy „*każdemu z osobna*” wytłumaczono, „*że to jest nieprawda*”? Czy zrobiono cokolwiek, żeby S&D skorzystała z art. 144, pkt 1 *Regulaminu* Parlamentu Europejskiego i wystąpiła z wnioskiem o przeprowadzenie debaty „*nad wymagającym pilnego działania przypadkiem łamania praw człowieka, zasad demokracji i państwa prawa*”? Nie? No to zapytamy za miesiąc, bo "norymberskie" przepisy "haniebnej ustawy represyjnej" w dalszym ciągu obowiązują, a tylko ich napiętnowanie przez instytucje unijne oraz dołączenie tych przepisów do katalogu zakazanych praktyk dyskryminacyjnych mogłoby powstrzymać zapędy ewentualnych, przyszłych "reformatorów" przed ich ponownym zastosowaniem. Bądźmy dalej pobłażliwi, nie pytajmy i nie rozliczajmy.

2024-02-17

Rzeczowe **podsumowanie** aktywności stowarzyszeń mundurowych, z naciskiem na godne podziwu ignorowanie radykalnie zmienionej rzeczywistości. /*Patrz strona 8 tego wydania OBI/*



Wywiad

Z wychowankiem Profesora Tadeusza Hanauska

Aneta Wybieralska: Adamie, jesteśmy w przededniu sporych zmian polityczno-społecznych. W pewnym sensie, nawet kluczowych. Mogę zadać Tobie niedyskretne pytanie? Uczestniczyłeś w wyborach 15 października? Na kogo głosowałeś? I dlaczego tak?

Adam Rapicki: Żadna tajemnica. Wziąłem udział w wyborach parlamentarnych (referendum „olałem”). Głosowałem na Lewicę, na konkretną osobę. Motywacja? Czysta prywatna: trzeba pomóc kumpłowi...

AW: Przez prawie całe życie zawodowe byłeś funkcjonariuszem resortu spraw wewnętrznych. Najpierw w MO, potem w Policji. W związku z tym Twoim zawodem, także doświadczeniem zawodowym, (wiele lat również jako oficer prasowy), oraz niezaprzeczalnym faktem, że z „niejednego pieca chleb jadłeś”, masz na pewno jakieś przemyślenia dotyczące obecnej policji. Co najbardziej Cię w niej niepokoi, może razi?

AR: Jestem jednym z nielicznych policjantów z wykształceniem prawniczym ze specjalizacją w kryminalistyce, nadto wychowankiem Prof. Hanauska. Kryminalistyka stanowiła moją autentyczną pasję życiową, wykształcenie kierunkowe i źródło utrzymania. Trzy w jednym.

Od początku trafiłem do policji (milicji) kryminalnej, której całe życie po ostatnie dni pozostałem wierny. Nawet jak byłem etatowym rzecznikiem prasowym, a to z przypadku. Uległem bowiem ciężkiej kontuzji wymagającej długiego leczenia i poszukania sobie łżejszej (mniej kancerogennej) pracy. Też pozostałem wierny – słowem, kryminalnym gliną. Wychodziłem z założenia, że nic tak nie ożywia gazety jak świeży trup.

Byłem natomiast jednokierunkowcem, czyli praktycznie całe życie zajmowałem się zabójstwami. Mam ich na koncie ponad 60, przez ok. 25 lat. Dopiero pod koniec służby po-

szedłem „w kierowniki”, ale też specyficznie. Pracowałem w Inspektoracie Komendanta mając w nadzorze policję kryminalną województwa, a później w zespole osobistych ekspertów gen. Papąły, gdzie przygotowywałem reformę policji opartą o zupełnie nowe założenia: wprowadzenia polskiej policji do Unii Europejskiej.

Jeśli idzie o ocenę stanu faktycznego polskiej „policji” (cudzyśłów jest tu zamierzony) to najlepszą byłaby opcja „0”. Zaorać i zacząć od nowa. Wszyscy wiemy, że to utopia.

A ‘propos reform autorstwa Papąły. On był wizjonerem, jego >idee fix< było całkowite przebudowanie policji na założenia europejskie, we współpracy z policjami innych krajów. Co ciekawe – sam nie był policjantem (to znaczy nie latał po ulicy i łapał złodziei), ale był managerem, zarządzającym, wyjątkowo zdolnym i skutecznym. Powołał sobie oficerów – wizjonerów, każdy z innej specjalności. (ja byłem kryminalnym), i w oparciu o własne projekty i współpracę międzynarodową budowaliśmy „nowe”. Tu były filary: deglomeracja „góry” na rzecz autentycznej odpowiedzialności „dołów” za teren, Uporządkowanie budżetu policji z nadaniem maksymalnej samodzielności budżetowej jednostek terenowych, Kolejno: uporządkowanie zarządzania przez ograniczenie ilości stanowisk kierowniczych oraz oparcie nominacji z wykorzystaniem konkursów stanowiskowych, przy zagwarantowanej kadencyjności, połączonej z nieusuwalnością.

Najważniejszą częścią była dogłębna reforma pragmatyki płacowej policjantów. Chodziło głównie o maksymalną (budżetowo) płacę „dołów”, przy zmniejszeniu liczby stanowisk kierowniczych i zachowanie odpowiednich proporcji płacy najniższej do wyższej.

Wszystko padło. Faktycznie pierwszą decyzją premiera Buzka było „spuszczenie Papąły po brzytwie”, a pół roku później zginął.

(Ciąg dalszy na stronie 19)

(Ciąg dalszy ze strony 18)

Naszą grupę ekspertów rozpedzono na cztery wiatry. Tak zaprzepaszczono realną szansę na głębokie reformy policji. Dzięki temu jest, jaka jest.

AW: Czego oczekiwałbyś po nowym Ministerstwie Spraw Wewnętrznych? Jakich najpilniejszych działań, wyzwań, ulepszeń? A może uważasz, że nie należy nic zmieniać?

AR: Krótko. Minister powinien dbać o dwie rzeczy: budżet policji i zapewnienie rozsądnej samodzielności kierowniczej policji, a nie tak zwanym nadzorcą.

AW: Stare, okrzepłe kadry policyjne odeszły z resortu lub zostały z niego usunięte. Czy, gdyby istniała taka potrzeba, wróciłbyś do resortu? W jakim charakterze? Czym mógłbyś się tam zająć?

AR: Jestem za stary i w fatalnym stanie zdrowia. Czasem coś opublikuję. Poza tym pamiętam, jak musiałem w '86 r. odejść z motywów politycznych. Zostałem honorowo przywrócony do służby jako „męczennik” (w 1990 r.) i dosłużyłem emerytury. Nie zapomniałem ówczesnych upokorzeń. Notabene zachowały się liczne dokumenty, jak mnie „rozrabiano” (przez Wydział III SB). Bardzo obficie czerpie z nich IPN. Nawet w aktach IPN jest informacja o moim stażu w Anglii (96 na 97) w Królewskim Inspektoracie Policji. Krótko mówiąc, IPN faktycznie inwigilował starszego oficera policji realizującego za granicą polecenie Komendanta Głównego.

AW: Pozwolisz, że przejdę do pytania o Twoje finanse? Znajdujesz się w gronie tych emerytów, którzy szczęśliwie odzyskali swoje emerytury. Co czujesz, gdy Ci zabrano świadczenia? Jak walczyłeś o ich odzyskanie? Co czujesz teraz, względnie, jakie miałbyś rady dla kolegów, którzy swoją walkę przegrali?

AR: Zaszłości r. 2017 okazały się fatalne. Emeryturę zmniejszono mi o 2/3 (a i tak miałem „generalską”, bo 1700,- Zł.). Żona była na studiach doktoranckich, miałem na utrzymaniu żonę i córkę. Sytuacja była fatalna, powstały ogromne zaległości finansowe. Musiałem ograniczyć leki „dzięki” czemu teraz jestem wra-

kiem. Walczyłem trzy frontowo: o emeryturę, prowadziłem proces autolustracyjny, a po jego wygraniu proces o ochronę dóbr osobistych przeciwko prezesowi IPN.

Wszystko wygrałem. Emeryturę po 5 latach. Przy zwrocie „ukradli” mi 90 tys. Mam 6 cyfrowe konto, tylko nie mam zdrowia. Proces z prezesem IPN mam wygrany, ale w I instancji, a apelacja IPN tkwi w SA w Warszawie już półtora roku. Postanowienia tego wyroku: usunięcie nazwiska z katalogu IPN, zamieszczenie wyrazów ubolewania, nawiązka (10 tys.) na Fundację Wdów i Sierot, zadośćuczynienie (25 tys.) plus koszty.

Miłość do „ojczyzny” wyraziłem tak, że wszystkie order i odznaczenia, plus pamiątkowe pagony oficerskie zapakowałem do reklamówki i umieściłem w kontenerze na śmieci zmieszane!

AW: Czy działasz lub działałeś w stowarzyszeniach skupiających emerytowanych funkcjonariuszy resortu spraw wewnętrznych? Lub tak zwanych dezubekizowanych? Jaki był cel tej działalności? Czy te gremia spełniły Twoje oczekiwania?

AR: Udzielałem się na kilku forach represjonowanych. Kilku osobom pomogłem sporządzając dokumentację procesową. Jakiś czas działałem w Bractwie Mundurowym RP, ale zetknąwszy się z hejtem (na kanwie spraw prywatnych) oraz cenzurą (sporo tam pisałem), rozstałem się z nimi definitywnie.

AW: Mogę zadać Ci kolejne pytanie z cyklu niedyskretnych? Tym razem prywatne.

Tak? Dziękuję.

- Co uważasz za Twój największy życiowy sukces, a co za absolutną klęskę?

- Jak wygląda teraz Twoje życie prywatne? Czy jesteś szczęśliwy, spełniony?

- Masz jakieś plany, marzenia?

- Czy jest coś, co mógłbyś zrobić dla innych lub co inni mogliby zrobić dla Ciebie?

AR: Na pewno uważam się za człowieka spełnionego. Studiując prawo poświęciłem się kryminalistyce (Prof. Hanausek). Ta stała się moją

(Ciąg dalszy na stronie 20)

(Ciąg dalszy ze strony 19)

pasją życiową. Zatem, po wstąpieniu do MO, zawodem, dającym mi niezłe życie. W jakimś sensie nadal przecież byłem jednokierunkowcem. Przez ponad 20 lat robiłem tylko zabójstwa. Mam na „sumieniu” ponad 60 wykrytych i osądzonych spraw z tej kategorii, a moi „klienci” dostali łącznie 1600 lat kryminału. W październiku ub. Roku minęła 50 rocznica aresztowania mojego pierwszego mordercy.

Wracając do służby w 90 r. (już do policji) odmówiłem przyjęcia stanowisk kierowniczych, decydując się na powrót do zabójstw. Wjechałem samochodem na teren Komendy Wojewódzkiej – jeszcze nielegalnie, bo nie miałem legitymacji. Zaparkowałem pod oknem Komendanta i poszedłem do Kadr po legitymację, a stamtąd do Wydziału, gdzie uroczystie powitał mnie szef Władzio. W te słowa:

- Gdzie się, k..., szlajasz? Trup, k...a leży i czeka, a robić, k..., nie ma komu.

I tak pojechałem na pierwsze zabójstwo i dokończyłem pierwszego aresztowania. Później poszło dalej...

Sprawa z emeryturą okazała się dramatem. Rodzina się mi rozpadła, małżeństwo też tej próby nie wytrzymało. Po długich miesiącach samotności spotkałem życzliwą duszę. Działaliśmy razem w Bractwie, skąd odeszliśmy oboje. Teraz interesujemy się wyłącznie sobą. Ja dodatkowo walczę z nieuleczalną chorobą.

Nie widzę możliwości, by ktokolwiek mógł dla mnie coś zrobić, a ja jestem zbyt zgorzkniały, by szerzej działać.

AW: Załóżmy, że wygrywasz na loterii jeden milion złotych. Na co przeznaczyłbyś te pieniądze?

AR: Uwielbiam podróże samochodem. Jestem ograniczony wyłącznie do Unii Europejskiej, z uwagi na refinansowane zabiegi medyczne. Zatem większą forszę na pewno bym „nawinął na koła”.

Z emerytowanym krakowskim policjantem

Adamem Rapickim

rozmawiała Aneta Wybierańska.

Wrocław – Kraków, styczeń 2024 r.

Janusz Maciej Jastrzębski

SAMOWAŃCZY WŁADCY VAGIN

Koalicja to para tancerzy: on tańczy slow-foxa, ona fokstrota, a orkiestra gra cha-cha-cha – powiedział włoski powieściopisarz Carlo Manzoni.

Nasza nowa władza, zwana Koalicją 15. Października też już zaczyna taką potańcówkę do której jeszcze bardziej niż sentencja Manzoniego pasowało by stare polskie powiedzenie, które jednak ze względu na jego dosadność nie zacytuje, wspomnę tylko, że zaczyna się słowem „Każdy” a kończy słowem „strój”!

Obawiam się, że może to się skończyć, pozostając w tańecznym nastroju, wiejską zabawą z lat sześćdziesiątych z tradycyjnym polonezem przy akompaniamencie cepów, widel, kłonic, sztachet i innych środków pojednania. Ale dzisiaj chcę poświęcić nieco uwagi tylko dwóm partnerom tego towarzystwa – Szymonowi Hołowni i Tygryskowi Kosiniakowi-Kamyszowi, i ich podejściu do problemu aborcji, które stoi w absolutnej sprzeczności z tym, jak się nam jawią. Bo jawią nam się jako ludzie światli, cywilizowani, z ogładą i zdrowymi poglądami na relacje międzyludzkie, etc...etc...

Jednak gdy zaczynają mówić o aborcji, to spod ich cywilizowanej skorupy wylazi tendencja do przyznawania sobie praw do rządzenia innymi, w tym przypadku kobietami, do poczucia wyższości i nieomylności boskiej! Takim przejawem jest m.in. zaślepienie trwanie przy tym, że o prawie kobiet do aborcji powinno zdecydować referendum.

ŻADNE REFERENDUM!, bowiem to powierzenie prawa do decydowania o najbardziej intymnej sfery kobiecej wszystkim – mężczyznom i kobietom; starcom z obwisłymi organami, o których już nie bardzo wiedzą do czego im służą, księżom uwielbiającym wtykać swój nos do vagin i tak jak Hołownia i Kosiniak narzucać im swoje prawa, psychopatom, fanatykom religijnym, kobietom, które same kiedyś dokonywały aborcji, a obecnie „nawrócone???” wrzeszczą veto!, politykom, którzy są wciąż przekonani, że Bóg stworzył kobiety po to, żeby były im podległe... **WSZYSTKIM!**

Dlatego referendum w tej sprawie jest najdurniejszą rzeczą jaką można byłoby wymyśleć!

O prawie do aborcji może decydować **TYLKO KOBIETA**, i tylko ta która zmaga się z tym problemem! bo tylko ona może podjąć jedną z najtrudniejszych decyzji w swoim życiu, a każde z nich jest inne; inne były okoliczności zajścia w ciążę, inne związane z nią przeżycia, problemy, w tym zdrowotne, traumy psychiczne...

Żadna polityka, żadna religia, żadne cudze przekonania nie mają prawa szlajać się w tej, jednej z najbardziej wrażliwych, intymnych enklaw życia! Won stamtąd!

Czyżby panowie Hołownia i Kosiniak-Kamysz w swej mentalności nadal hodowali opinię mędrca Kościoła, św. Tomasza z Akwinu, że wartość kobiety polega na jej zdolnościach rozrodczych i możliwości wykorzystania do prac domowych?!

Panowie, przestańcie się bawić organem kobiecym! Przecież możecie bawić się swoim! ... Chyba, że nie macie... Wtedy współczuję, acz to też nie daje wam prawa do bawienia się cudzym!

REFERENDUM W SPRAWIE PRAWA DO ABORCJI, TO NIE TYLKO GŁUPOTA, TO ZBRODNIA!

Janusz Maciej Jastrzębski



Będąc emerytem z wymuszonym 33 letnim stażem zawsze wracam pamięcią kiedy to będą w wieku bez mała 40 latkiem zostałem... bez pracy. Zostałem z pytaniem prostym w sumie: co dalej?. Być może to właśnie z tego powodu z wielkimi emocjami uczestniczę w imprezach odejścia na emeryturę naszych następców. I o dziwo fakt że oni nie rzadko mają mniej lat wysługi niż ja jestem emerytem nie ma wpływu ma mój podniosły nastrój. Jak to niejednokrotnie mówiłem te młode, a w sumie najpiękniejsze lata naszego życia poświęciliśmy innym.

Ba nawet, i to nie zależnie od epoki odbywało się kosztem bliskich, stad też tak podkreślałem, że to nasze wspólmałżonki (małżonkowie) razem z nami tą emeryturę wypracowali.

Ostatnio coraz częściej docierają sygnały o odejściu w sumie młodych ludzi na emeryturę. I wcale nie chodzi tu o jakiegokolwiek względy polityczne tudzież inne uwarunkowania. Oni po prostu wysłużyli ten wymagany okres służby do nabycia praw emerytalnych. Takie też okoliczności miały miejsce u podstawy uroczystości przejścia na emeryturę praktycz-



nie ścisłego kierownictwa giżyckiej Komendy Policji. Na emeryturę odchodzili:

- Insp. Przemysław Rawa – Komendant,
- mł. insp. Dariusz Poboży N-k Wydz. Krym.
- kom. Jacek Tarnacki – N-k Wydz. Prewencji i Ruchu Drogowego.



Bohaterowie pożegnalnej imprezy, od lewej: Jacek Tarnacki, Dariusz Poboży i Przemysław Rawa

Faktowi temu nadano stosownego splendoru. Mianowicie w świetlicy Centralnego Ośrodka Sportu – Przygotowań Olimpijskich w Giżycku podległego Ministerstwu Sportu odbył się apel pożegnalny. W uroczystości brały udział znamienite osoby. Była Pełnomocnik Wojewody Warmińsko-Mazurskiego Dorota Michalak, a co ciekawe emerytowana policjantka rodem z Lidzbarka Warmiń-

(Ciąg dalszy na stronie 22)

(Ciąg dalszy ze strony 21)

skiego, która „terminowała” referacie dzielnicowych u Lucjana Fiedorowicza – szefa naszej wojewódzkiej komisji rewizyjnej. Przekazując swoje pozdrowienia nowym emerytom odczytała list gratulacyjny naszego (z resztą rodem, bo z Wydmin) wojewody Arkadiusza Króla. Byli przedstawiciele służb mundurowych, nie tylko wojskowych był mł. bryg. mgr inż. Mateusz Pupek p.o. komendant PSP Giżycko i w podobnej barwie mundurze wystąpił Komendant Straży Miejskiej Maciej Ambroziak. Również reprezentacyjnie wyglądali w swoich marynarskich mundurach przedstawiciele potocznie nazywanymi ludźmi naszego lokalnego morza w osobach: Prezes MOPR-u Jarosław Sroka i szef Delegatury Urzędu Żeglugi Śródlądowej Łukasz Gieczewski. Oczywiście nie mogło zabraknąć Prokuratury Rejonowej, którą reprezentował osobiście sam naczelny szef Grzegorz Ryński wraz z zastępcami: Elą BERNACKĄ i Maciejem PROKOPEM. Giżyckie lokalne władze powiatowe, miejskie i gminne były w pełnym skaldzie w osobach Starosty, Burmistrza i Wójta gminy, a nawet wójt gminy Kruklanki – Bartłomiej KŁOCZKO. Byli też przedstawiciele organizacji społecznych np. Ewa OSTROWSKA - szefowa Komicji do spraw uzależnień. Obecny był dr Artur Radman Dyrektor Wojskowej Przychodni Lekarskiej, z której to placówki korzystamy na dogodnych dla nas warunkach. Przybyli też pracownicy Komedy: mundurowi i cywilni, a także rodziny i bliscy nowych emerytów. Nie sposób przytoczyć tu treści wygłaszanych mów ze strony gości i samych nowych emerytów.

Warto w tym momencie wspomnieć o jednym fakcie. Mł. insp. D. Poboży stwierdził, że mimo wykształcenia nie związanego z policją (jest z wykształcenia leśnikiem), za namową ojca Ryszarda wstąpił do Policji i te 28 lat wysłużył w tej samej jednostce, nawet na tym samym pięttrze, kończąc swoją karierę jako N-k Wydz. Kryminalnego KPP Giżycko. I co ciekawe jego Ojciec Ryszard jest naszym honorowym Prezesem giżyckiego Koła i w Milicji – Policji służył 35 lat. Jest to kolejny przykład „rodzinnej służby”. Syn naszego członka

Zarządu Koła Zdzicha Makowskiego – Marcin jesienią ubiegłego roku, też już odszedł na emeryturę ze Stanowska kierownika giżyckich wodniaków.

Reprezentując emerytów wręczyłem każdemu ze wspomnianych nowych emerytów listy gratulacyjne oraz drobne gadżety w postaci przewieszek z napisem Policja i grafem. Pomijając dość tematycznie wykonanie prezentu zapakowanego w reprezentacyjne opakowanie w uzasadnieniu stwierdziłem, iż będąc na emeryturze już na samym wstępie dojdą oni do skąd inąd słusznej konkluzji: braku czasu na wszystko, druga kwestia to że nie macie prawa zapominać jakiej firmie poświęciliście swoje młode i najpiękniejsze lata i kto wam będzie płacił te słusznie należne emerytury. W każdym momencie sięgając po klucze te obdarowane wam breloki będą o tym Wam przypominać.

Finał spotkania to kameralne rozmowy przy ciastkach i napojach. Najprościej mówiąc było fajnie, na luzie, ale jednocześnie wzniosłe.

Nie byłbym sobą abym nie wskazał nowym emerytom ścieżki do naszego Klubu. Patrz treść listu gratulacyjnego.

PS.

Oczywiście w ostatnim czasie na emeryturę przeszli inni funkcjonariusze m. st. asp. w st. spocz. Mariola Jagodzińska z-ca rzecznika prasowego naszej giżyckiej policji która odeszła co prawda nie z takim samym rozmachem ale również sympatycznie pożegnaliśmy ją z czego ona i my byliśmy niezmiernie zadowoleni.

Bohdan Makowski s. Władysława



Karnawałowe spotkanie koła SEiRP w Bolesławcu

Koło SEiRP w Bolesławcu powstało w 2005 r. głównie w celu integracji policyjnych emerytów i wspólnym uczestniczeniu w życiu kulturalnym, sportowo-wypoczynkowym i rekreacyjnym. W dniu 3 lutego 2024 r. odbyło się już kolejne spotkanie karnawałowe osób ściśle związanych z naszym środowiskiem emerytalnym. Było ono gościnnie w świetlicy Zakładu Budowlanego Pana Józefa Głowacza. Na to spotkanie przyszedł jak zwykle najstarszy członek koła **Zbigniew Marek** – wieloletni szef służby kryminalnej bolesławieckiej komendy oraz także inni niezawodni policyjni emeryci.

Jeszcze przed oficjalnym rozpoczęciem **Bożena Piszcz** przekazała pisemną deklarację członkowską prezesowi Koła SEiRP **Bogdanowi Gajewskiemu**, który podziękował kandydatce za chęć dołączenia do naszego Stowarzyszenia. Jednocześnie prezes po powitaniu zaprosił wszystkich do poczęstunku, w tym gulaszu sporządzonego według receptury i sporządzeniu przez żonę Prezesa Koła. Należy dodać, że produkty spożywczo-warzywno-owocowe i napoje (woda, soki, herbata i kawa) zostały dofinansowane z funduszu socjalnego Komendanta Wojewódzkiego Policji we Wrocławiu. W przyjacielskiej rozmowie wspomniano lata swojej służby. Oglądano kronikę z wydarzeń organizowanych w obecnej kadencji koła. Czas umilała muzyka, przy której nie zabrakło amatorów tańca. Zadowoleni uczestnicy mówili, że z niecierpliwością będą oczekiwać na następne integracyjne spotkanie zaplanowane w okresie jesiennym br.

Tekst i foto:

Zdzisław Mirecki – wiceprezes Koła SEiRP



Kronika prowadzona przez Koło SEiRP





Jan Papis
1933 - 2024

Honorowy Prezes ZO SEiRP w Zielonej Górze
Cześć jego pamięci!



Ostatnie pożegnanie.

W dniu 05 luty 2024 r. zmarł w wieku 91 lat **PREZES Honorowy Zarządu Okręgowego Stowarzyszenia Emerytów i Rencistów Policyjnych w Zielonej Górze**. Współzałożyciel Stowarzyszenia SEiRP na terenie woj. Lubuskiego w 1990 roku. Wieloletni Prezes Zarządu Oddziału Okręgowego w Zielonej Górze. Wspaniały człowiek, pedagog i wychowawca młodszego pokolenia. Służbę czynną rozpoczął w pionie kryminalnym i wierny jej był do końca pracy w organach ścigania. Piastował różne stanowiska. Kiedy odchodził na emeryturę zajmował stanowisko Z-cy Komendanta Miejskiego w Zielonej Górze. W pracy społecznej pełnił funkcje w Zarządzie Głównym SEiRP jako Wiceprezes ZG SEiRP w Warszawie. Wpisany został do Księgi Honorowej Zarządu Głównego. Jego zasług trudno opisać jednym słowem w naszej „**KRONICE**” -nie starczyło by miejsca i czasu. Dlatego żegnamy Cię nasz przyjacielu i będziemy mieli Cię na zawsze w pamięci. Pogrzeb odbył się 9 lutego na Cmentarzu w Zielonej Górze według ceremoniału policyjnego bez kompanii honorowej, ale przy udziale asysty Policji i ze sztandarem Zarządu Głównego SEiRP z Warszawy w którym uczestniczył Wiceprezes ZG SEiRP Jerzy Skrycki oraz wszyscy Prezesi Kół terenowych Oddziału Okręgowego w Zielonej Górze oraz przedsta-

wiciel Zarządu Wojewódzkiego w Gorzowie Wlkp. Wiceprezes Zygmunt Magniewski. W imieniu Zarządu i wszystkich członków pożegnanie przed grobem Janka Papisa wygłosiła Wiceprezes ZOO Barbara Milej, tłumy ludzi żegnali wspaniałego człowieka, który nie miał wrogów - a tylko przyjaciół.

Spoczywaj w pokoju!

Zbigniew Kobryń



W dniu 5 lutego 2024 r. w wieku 91 lat zmarł Jan Papis

PREZES Honorowy Zarządu Okręgowego Stowarzyszenia Emerytów i Rencistów Policyjnych w Zielonej Górze. Współzałożyciel Stowarzyszenia SEiRP na terenie woj. Lubuskiego w 1990 roku. Wieloletni Prezes Zarządu Oddziału Okręgowego w Zielonej Górze. Wspaniały człowiek, pedagog i wychowawca młodszego pokolenia. Służbę czynną rozpoczął w pionie kryminalnym i był jej wierny do końca pracy w organach ścigania. Piastował różne stanowiska. Kiedy odchodził na emeryturę zajmował stanowisko Z-cy Komendanta Miejskiego w Zielonej Górze. W pracy społecznej pełnił funkcję w Zarządzie Głównym SEiRP jako Wiceprezes ZG SEiRP w Warszawie. Wpisany został do Księgi Honorowej Zarządu Głównego SEiRP. Jego zasług trudno opisać jednym słowem w naszej „KRONICE” - nie starczyłoby miejsca i czasu. Miał wielu przyjaciół, a nie miał wrogów. Dlatego żegnamy Cię nasz przyjacielu i będziemy mieli Cię na zawsze w pamięci. Spoczywaj w pokoju!

Antoni Duda - Prezes ZG SEiRP.



Zmarł mój PRZYJACIEL JAN PAPIS !

W dniu 5 lutego 2024 r. lat zmarł Jan Papis - Honorowy Prezes Zarządu Okręgowego Stowarzyszenia Emerytów i Rencistów Policyjnych w Zielonej Górze, przeżył 91 lat.

Współzałożyciel Stowarzyszenia SEiRP na terenie woj. Lubuskiego a zarazem wieloletni Prezes Zarządu Oddziału Okręgowego w Zielonej Górze. Przez wiele lat pełnił funkcję członka Zarządu Głównego SEiRP, do funkcji Wiceprezesa ZG SEiRP włącznie. ŚP Jan Papis został wpisany do Księgi Honorowej Zarządu Głównego SEiRP.

Czynną służbę rozpoczął w pionie kryminalnym, któremu pozostał wierny do końca pracy w organach ścigania. W momencie przejścia na zaopatrzenie emerytalne piastował stanowisko Z - cy Komendanta Miejskiego w Zielonej Górze.

Zasługi ŚP Jana Papisa dla Stowarzyszenia trudno wymienić i opisać w tej krótkiej, pożegnalnej, żałobnej notatce. Miał wielu przyjaciół, mam nadzieję, że mogłem i ja zaliczać się do tego kręgu. Żegnam Cię Janku, pozostaniesz na zawsze w mojej pamięci a z pomocą przyjdą mi zdjęcia odzwierciedlające liczne, wspólnie spędzone chwile prywatne i organizacyjne Spoczywaj w spokoju (R.I.P)!

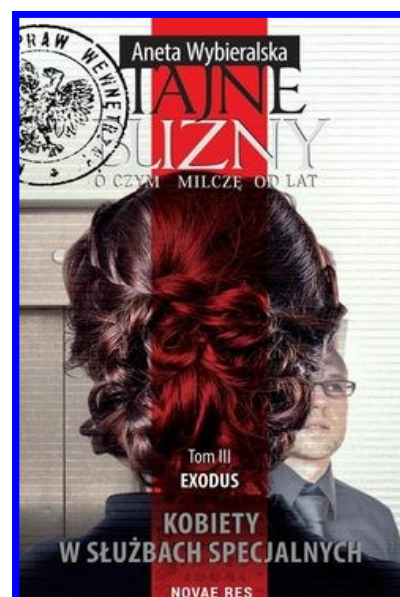
Leszek Orkisz





Zdjęcia z archiwum Leszka Orkisz. (opis zdjęć na tej i poprzedniej stronie, wg kolejności publikacji)

1. 2002 r. Legionowo, Zjazd Krajowy SEiRP; 2. 2006, Legionowo, Zjazd Krajowy; 3. 2006 r. Posiedzenie ZG (31.08.2006' 4, 2008. Warszawa, spotkanie wigilijne; 5. 2008 r. Legionowo, Zjazd Krajowy; 6. 2010. Legionowo, Zjazd Krajowy; 7. 2010 r. Wisła. Posiedzenie Prezydium ZG; 8. Szcztytno. Posiedzenie ZG; 9. 2011 r. Warszawa. Wpis do księgi zasłużonych; 10. 2011 r. Warszawa. Zjazd Nadzwyczajny; 11. 2012 r. Zakopane. Posiedzenie ZG; 12. 2013 r. Warszawa. Obchody dnia weterana.



Odcinek 11

TAJNE BLIZNY, t.3 Exodus

Prawo silniejszego jest najsilniejszym bezprawiem.

Marie von Ebner Eschenbach

Rozdział III

Wariatkowo

– Mam poczekać czy sobie poradzisz? – zapytał Chmielewski z troską w głosie.

Mąż wiedział, że jestem diabelnie zestresowana. Znał mnie jak starą szkapę, a moje zdenerwowanie udzieliło się również jemu. Choć starałam się to ukrywać, nadrabiając miną i po mojemu szczerząc ząbki.

– Poradzę sobie. Jedź spokojnie, nie szalej. I daj znać, gdy dojedziesz.

– Jasne. Dobrze. Będę uważać. – Mąż uśmiechnął się i mnie przytulił.

Dostałam buzi, mąż wsiadł do auta i po raz ostatni pomachał mi na pożegnanie.

Zostałam stać na dziedzińcu przed wejściem do starego budynku. Obok mnie piętrzyła się sarta maneli.

Umiem czytać, staram się to robić ze zrozumieniem, toteż na jednym z wieńczących wejście szyldów przeczytałam napis „izba przyjęć”.

Z budynku wychodził akurat dystyngowany siwy pan odziany w czysty, biały i wyprasowany fartuch.

– Dzień dobry – przywitałam się grzecznie i z lekkim uśmiechem.

– Dzień dobry – odpowiedział medyk. Przystanął i obejrzał mnie z nieskrywanym zainteresowaniem. – Pani może z Wrocławia?

– Tak. Agnieszka Wallicht-Chmielewska.

– A, to zapraszam. Czekaliśmy na panią. Naj-

pierw załatwi pani formalności u pani Grażynki, potem zapraszam do mojego gabinetu. To pani ba-
gaż? – Wskazał na moją olbrzymią walizę i torbę.

– Tak.

– To pomogę pani wnieść.

– Dziękuję. Miło mi, panie doktorze – odpowiedziałam z uśmiechem, uznając, że mam do czynienia z lekarzem. I to najprawdopodobniej z tym samym, z którym bez mała półtora miesiąca wcześniej rozmawiała w mojej sprawie wrocławska resortowa psychiatra doktor Maria Olchowa.

Nie myliłam się. To rzeczywiście był lekarz. Psychiatra. Przedstawił mi się z imienia i z nazwiska, gdy piętnaście minut później pojawiłam się w jego gabinecie.

Po godzinie natomiast zasililiam grono pacjentów kierowanego przez niego oddziału szpitalnego, mieszczącego się w bloku „B”. Zanim to jednak nastąpiło, załatwiłam niezbędne formalności przyjęcia do placówki leczniczej i odbyłam standardową wizytę lekarską.

No, nie tak całkiem standardową, bo psychiatryczno-psychologiczną. A takie wizyty prawie nigdy nie są standardem. Już na pewno nie są w resorcie spraw wewnętrznych.

– Pani Agnieszko, w pani sprawie dzwoniła do mnie koleżanka z Wrocławia. Doktor Olchowa. – Kozłowski sięgnął po dokumenty opatrzone moim nazwiskiem, po czym zaczął je pobieżnie przeglądać.

(Ciąg dalszy na stronie 29)

(Ciąg dalszy ze strony 28)

– Hmm. Domyślam się, że znalazła się tutaj pani na skutek... no, decyzji personalnych działań pani obecnych przełożonych.

– Można to tak określić – przytaknęłam, skorystawszy z pauzy w wypowiedzi ordynatora.

– Współczuję. Postaramy się pani pomóc i coś zaradzić. Oczywiście w miarę moich, naszych, możliwości i jedynie w sferze medycznej. Słyszałem o... tych zmianach, z uwagą śledzimy poczynania nowych szefów delegatury we Wrocławiu. W innych nie przebiegło to tak burzliwie i drastycznie. Bardzo współczuję – powtórzył ordynator.

– Dziękuję – odpowiedziałam cichutko, potakując nieznacznie głową.

– Mieliśmy tutaj już kilku pani kolegów z UOP-u. Proszę mi tylko powiedzieć, w jakim wydziale pani pracuje i na jakim stanowisku?

Zawahałam się. Zastanawiałam się, co mogę powiedzieć, a czego nie powinnam. Co takiego znalazło się w moich dokumentach? Nadal przecież byłam w czynnej służbie, tylko obecnie na zwolnieniu lekarskim. Nadal obowiązywała mnie tajemnica państwa i służbowa.

Pan ordynator odnotował moje wahanie, jakby wyszedł mi naprzeciw.

– No to pani pomożę. Dwójka i stanowisko operacyjne?

– Tak. Dziękuję. – Uśmiechnęłam się.

– To wiele wyjaśnia. Odrobiłem lekcje. Poczytałem sobie nadesłane dokumenty. Teraz tylko muszę przepisać pani odpowiednią terapię. I pokrótce wyjaśnić, na czym będzie polegać leczenie. Hmm... – rzekł dystyngowany pan i spojrzał na mnie uważnie. W pewien sposób zostałam oczarowana przez tego człowieka, rzec by można, że wpadłam w jego sidła. Stwierdziłam, że doktor Kozłowski na pewno nie ma zamiaru wyrządzić mi żadnej krzywdy. Nie wyglądał mi ani na wrednego złośliwca, ani na rutyniarza, który każdego pacjenta traktował podobnie i sztamowo.

Po co zatem mam gadać po próżnicy? Przecież każda ściema, próba ingerencji w jego zawodowe kompetencje czy w lekarską empatię albo wywieranie jakiegos bezsensownego nacisku może przynieść skutek odwrotny do zamierzonego.

Gdy ponad półtorej godziny później w przyznanym mi pokoju rozpakowywałam walizy, sama ze sobą przeprowadziłam dialog wewnętrzny.

„Uff. Tym razem pojawiło się kolejne światelko w tunelu. Albowiem trafiłam pod opiekę kolejnego doświadczonego psychiatry”.

Po wstępie dotyczącym oceny mojej sytuacji służbowej i potraktowaniu mnie bynajmniej nie przedmiotowo, to znaczy nie jako kolejnego przeciętnego pacjenta, zarazem bezimiennego krzyżyka w szpitalnej statystyce, skonstatowałam z niejakim zadowoleniem, że ten mój lekarz wie, co robi. Wie, z kim rozmawia, z kim ma do czynienia, oraz wydaje się wiedzieć, na czym polega mój problem zdrowotny i służbowy. Właściwie problem służbowo-zdrowotny, ponieważ moje obecne dolegliwości psychosomatyczne i inne nowo powstałe choroby współistniejące wydają się mieć ścisły związek z sytuacją służbową, jak też wyniknęły na jej skutek.

Że dystyngowany, kulturalny, taktowny, ważący każde wypowiedziane słowo pan doktor docenia moje osobnicze cechy charakteru, wnikliwie przygląda się mojej inteligencji i interpretuje tę na moją korzyść.

Poza tym to przede wszystkim mnie zależało na tym, by na zwolnieniu L4 dotrzeć do nabycia resortowych uprawnień emerytalnych, to znaczy przynajmniej do początku września. Gdyby do tego udało się wyrwać parę procent do podstawy obliczonego później świadczenia emerytalnego, byłabym niezmiernie wdzięczna. Jemu i mojej wrocławskiej doktor.

A co będzie, jeśli się nie uda? Dotrzeć i wyrwać?

Na razie tego nie wiedziałam, nie roztrząsałam. Trudno. W łeb sobie nie strzelę. Nie wykazuję skłonności samobójczych ani sadomasochistycznych. Będę musiała konsumować głodową emeryturkę, jeżeli w ogóle takową otrzymam. Przyjdzie mi liczyć na łut szczęścia, to znaczy szybciej znaleźć dodatkowo płatne zajęcie.

Po okrojeniu mojego obecnego wynagrodzenia, zagrabieniu dodatków, apanaży i podarciu awansu nie miałam nadziei na świadczenie jakkolwiek mnie zadawalające. Tego byłam świadoma.

*

I tak muszę poszukać sobie jakiejs pracy. Cywilnej. W moim przypadku żadna mnie nie zhańbi, ponieważ jakby akurat to stało się prawie piętnaście lat wcześniej. Mam na myśli fakt, że w oczach nowych demokratyczno-antekomunistycznych władarzy (państwa i resortu) zhańbiłam się, wstępując do peerelowskiej bezpieki.

Tylko co ja potrafię robić?

Oprócz wykonywania poleceń, rozkazów, oprócz dostosowywania spraw prywatnych do służbowych, czytania oraz pisania dokumentów, szukania dziury w całym albo igły w stogu siana, jak też wyciągania dziwnych wniosków?

Hmmm... Niewiele.

(Ciąg dalszy na stronie 30)

(Ciąg dalszy ze strony 29)

Nawet umiejętność dość sprawnego komunikatywnego posługiwania się kilkoma językami obcymi trafił szlag.

Podarowano mi parę miesięcy czasu na przemysłenia. Im szybciej zacznę się przyzwyczajać do myśli o zmianie statusu zawodowego, tym lepiej dla mnie. Chyba.

Co w tym wszystkim było złe i dołowało mnie dodatkowo, a nad czym powinnam najpierw popracować pod kontrolą specjalistów i kochających mnie bliskich, to przywrócenie utraconej wiary w siebie. Jakieś. Najmarniejsze.

Potrafię. Na pewno coś potrafię. Ale, kurde, co???

Słuchałam lekarza z ogromnym zainteresowaniem. Spokojnie. Odpowiadałam konkretnie na pytania, reagowałam mimiką na jego wnioski.

Gdy doktor zastanawiał się nad zaleceniami, na jego biurku zaterkotał telefon. Podniósł słuchawkę, posłuchał z uwagą, lekko się zawahał. Popatrzył się na mnie, jakby miał obawy, czy może przy mnie rozmawiać. Przynajmniej tak odebrałam owo spojrzenie.

No to uśmiechnęłam się lekko, rękoma pokazałam literę „T” (*time*). Jak czasami podczas meczu czyni trener drużyny potrzebujący czasu na udzielenie krótkiego instruktażu albo na wymianę zawodnika. Wstałam, potem cichutko wyszłam z gabinetu. Tak po prostu.

Kilka minut później zostałam zaproszona na kontynuację nieskończonej wizyty lekarskiej.

– Dziękuję pani. To rzeczywiście było ważne. No i poufne.

– Nie ma za co. Nigdzie mi się nie spieszy...

Najwyraźniej doktor był mi wdzięczny.

Czy ten drobny gest mojej kultury osobistej zaważył na postawionej diagnozie? Być może. Ta zaś, jak okazało się potem, była trochę nietypowa. I raczej odmienna od innych standardowych diagnoz, które lekarze ośrodka stawiali tutejszym pacjentom. W każdym razie ewidentnie miałam fory, co także okazało się później. To znaczy po konfrontacji z moimi kolegami i koleżankami w niedoli (i w szpitalnej niewoli).

– No to teraz recepta. Parę rodzajów terapii muszę pani zalecić, ponieważ są u nas obowiązkowe i regulaminowe. W tym przepisuję codzienną gimnastykę. Na tym polega także pobyt na leczeniu. Wszystkim pacjentom przepisujemy zwykle jedną z naszych terapii manualnych, ale ja tego nie zrobię. Będzie pani wyjątkiem potwierdzającym regułę. Nie nadaje się pani, poza tym to byłoby bezcelowe. W pani przypadku.

– O! Dziękuję – wtrąciłam uprzejmie.

– Nie ma za co. – Ordynator się uśmiechnął. – Z farmakoterapii dostaje pani tylko środek nasenny nowej generacji. – Doktor wymienił nazwę, która nic mi nie mówiła. – Na razie na tydzień, do pierwszej wizyty kontrolnej. Jeśli potem uzna pani, że lek zaczyna działać, zmniejszymy dawkę o połowę. On potrafi uzależnić, stosujemy go zatem z dużą ostrożnością. Jaka dieta żywieniowa? – Spojrzał pytająco.

– Są dwie.

– A która jest smaczniejsza? – zapytałam ciekawie.

– Dla mnie? Normalna. Chociaż one i tak niewiele się różnią. Kucharza mamy fatalnego – nadmienił lekarz *ad vocem*.

– To poproszę tę normalną.

– I słusznie. – Ordynator popatrzył na zegarek. – Obiad na drugą turę, to znaczy o czternastej. Całą resztę załatwi pani u pielęgniarki oddziałowej na bloku B. I ona powie, co dalej. Ma pani jeszcze jakieś pytania?

Od starego, doświadczonego specjalisty emanował spokój i wyważona elegancja. Jednakowoż niby nieznaczny gest sprawdzania czasu wyglądał tak, jakby mój lekarz pilnie chciał zakończyć spotkanie.

Wstałam zatem i podziękowałam uprzejmie. Na koniec zapytałam gwoździ okazania wdzięczności:

– Czy mogę się odmeldować? Nie mam pytań. To znaczy mam, ale o sprawy logistyczne i techniczne mogę zapytać kogoś innego.

– Oczywiście. Dziękuję i do zobaczenia. – Biały kitel rzucił we mnie głębokim przenikliwym spojrzeniem.

Nadal mnie badał i diagnozował. Może testował? Upewniał się co do słuszności diagnozy? Mogłam być dla niego jednym ze zwykłych mainstreamowych pacjentów albo ciekawym przypadkiem klinicznym. Tej opcji nie mogłam wykluczyć.

– Dziękuję, doktorze. Do zobaczenia.

Ordynator podał mi kilka dokumentów, potem rękę.

– Dla oddziałowej. Blok B, parter, po schodkach i na lewo – rzucił na odchodne i znowu spojrział na zegarek.

Spieszyło mu się, zaabsorbowało go zupełnie coś innego i niezwiązanego ze mną. Może ta dyskretna informacja uzyskana przez telefon?

*

Ja także zaabsorbowana byłam zgoła czymś innym. Jak tutaj będzie?

Czy ja rzeczywiście jestem chora, czy tylko doraźnie znerwicowana?

Jak dalece służba zaingerowała w mój układ psychosomatyczny?

Czy zalecone terapie mi pomogą, czy są tylko picem

(Ciąg dalszy na stronie 31)

(Ciąg dalszy ze strony 30)

na wodę?

Cokolwiek czeka mnie tutaj, wydaje się do przeżycia. Tak miemam. Nie ubezwłasnowolniono mnie, powinnam mieć świadomy wpływ na przebieg kuracji. Tak pokierować moją wolą, tak ją ukształtować, by z pobytu w cieplickim wariatkowie zaczerpnąć jak najwięcej dla siebie. I niczym Pollyanna, bohaterka cyklu powieści dla młodzieży amerykańskiej pisarki Eleanor H. Porter, powinnam zacząć doszukiwać się we wszystkim pozytywów i tryskać pogodą ducha.

Ba. Założenie z gruntu słuszne. Tryskać. Co stoi na przeszkodzie? Przynajmniej spróbuję. Na razie coś tryskało do wewnątrz i nie miało żadnego związku ani z pogodą, ani z duchami.

Zdzisio, jeden z moich pierwszych służbowych kolegów, istny kawalarz, zachwycony był czterotygodniowym pobytem w resortowym wariatkowie. Tak mu się podobało, że kurację przedłużył sobie o kolejne dziesięć dni. O pobycie opowiadał wiele i kwiecście, nie szczędząc pikantnych szczegółów z pozaleczniczego życia pacjentokuracjusza. Ale jego „leczenie” działało się pod koniec naszej wspólnej służby w esbecji, poza tym w byłej lokalizacji resortowego szpitala. Ten zaś znajdował się wtedy w starych pomieszczeniach popałacowych w podsudeckiej wsi Barcinek (przez kolegę biurmena zwanej Kurwocinkiem), około piętnastu kilometrów na północny zachód od centrum Jeleniej Góry. Do zdrowotnych Cieplic szpital przeniesiono ponad dziesięć lat przed moim przybyciem, to znaczy u schyłku epoki PRL-u.

Z kolei ja bywałam kilka razy w resortowym sanatorium w Krynicy-Zdroju, gdzie nie tylko doskonale odpoczęłam, korzystałam z ożywczych zabiegów, profesjonalnego oklepu i bezkarnego żłopania namagnezowanych wód mineralnych, ale głównie zdolałam wypracować w sobie zdolność okazjonalnego nabierania względnego dystansu do spraw zawodowych i do niektórych prywatnych. Ów dystans właśnie był dla mnie najistotniejszym aspektem ówczesnego niesłużbowego wyjazdu do beskidzkich wód. To znaczy wyspanie się i odpoczynek.

Tutaj także musiałam zmienić perspektywę i ogląd spraw pozostających w toku. Zobaczyć coś interesującego, po raz enty zdobyć najbliższe góry, szczytować. Choćby tylko poprzez samodzielnie wchodzenie na Śnieżkę albo Szrenicę. Oddychać czystym, nie-miejskim powietrzem.

A cała reszta pobytu? Się zobaczy. Powinnam dać radę.

Dystans? Koniecznie. Ile wlezie. Najlepiej zacząć

zaraz i od siebie.

To jest to!

Zakazy, nakazy, reguły

Każde życie zbiorowe, czy toczy się ono w szpitalu zamkniętym, otwartym, sanatorium, czy na kursie kroju i szycia, rządzi się swoimi odrębnymi regułami. To oczywiste oraz jak najbardziej zasadne.

Wręczony mi regulamin pobytu w specjalistycznym ośrodku leczenia zbiorowego podpisałam podczas przyjęcia do placówki. Zapoznałam się z nim przed podpisaniem, a to ze zrozumieniem. Wtedy byłam osobnikiem przytomnym, komunikatywnym, względnie zdrowym na ciele, trzeźwym i wolnym od wpływów jakichkolwiek substancji psychoaktywnych.

Z pewnym onieśmieleniem nie wypowiadałam się na temat stanu mojego umysłu, ponieważ, i co do zasady, trafiłam do resortowego wariatkowa. A funkcjonariusze zdrowi na umyśle nie powinni tam trafiać. Żelazne reguły pobytu wyłuszczone mi po raz kolejny zaraz po tym, gdy pojawiłam się w bloku oznaczonym literką B. Od pielęgniarki oddziałowej otrzymałam coś w stylu werbalnego instruktarzu w pigułce. Pierwszą z serii pigułkę *sensu stricto*, czyli małą podłużną białą pastyleczkę nasenną, miałam dostać dopiero późnym wieczorem.

Co do samych obowiązujących reguł, zarazem ukazów, to pierwszą, koronną, zasadniczą i dominującą był bezwzględny zakaz spożywania alkoholu. Na terenie szpitala i poza nim.

Za wypicie najmniejszej porcji wódki, wina, piwa, likieru i (lub) whisky czy denaturatu groziło natychmiastowe wydalenie z placówki oraz inne konsekwencje dyscyplinarno-służbowe.

I nie chodziło tutaj li tylko o jakieś pozorne naruszenie dyscypliny. Przedmiotowe zakazy wynikały z reguł rządzących złożonym procesem długotrwałego leczenia pacjenta.

Aplikowana wszystkim terapia polegała między innymi na kuracji farmakologicznej. Dostawaliśmy leki psychotropowe w czystej postaci, które w połączeniu z alkoholem mogły skutkować bezpośrednim zagrożeniem zdrowia i życia samego pacjenta oraz jego najbliższego otoczenia. A autorska reakcja ludzkiego organizmu bywa nieprzewidywalna. Mało tego, mogła być niezwykle fatalna w skutkach.

Obecnie w obiegu publicznym funkcjonują nie tylko dopuszczone do obiegu leki psychoaktywne, ale także narkotyki (miękkie i twarde, naturalne i sztuczne), inne substancje psychoaktywne, w tym grzybki halucynogenne oraz tak zwane dopalacze.

Lekarze i terapeuci borykają się z leczeniem pacjen-

(Ciąg dalszy na stronie 32)

(Ciąg dalszy ze strony 31)

tów, którym wspomniane wyżej substancje wyrządziły wielkie szkody. Niekiedy, mówiąc ogólnie, po prostu skutecznie zryły mózg. I takich reakcji należało się wtedy spodziewać.

Profilaktyka i terapia. Ot co.

Przyjeżdżając do Cieplic, nie miałam parcia na picie alkoholu. Pasował mi trunkowy zakaz. Jak się potem okazało, innym nie bardzo chciało się go przestrzegać.

Kolejna reguła dotyczyła regularnego przyjmowania przepisanych leków. I lękania ich pod surową kontrolą dyżurującej pielęgniarki.

Gdy tylko przyjmująca mnie siostra oddziałowa zobaczyła, co i w jakiej ilości przepisał mi lekarz prowadzący (a raczej zobaczyła, czego doktor mi nie zaordynował), zdumiała się bardzo.

– Tylko tyle przepisał pani ordynator? To musi być jakaś pomyłka. – Piguła spojrzała na mnie zdziwiona.

– Nie rozumiem, co według pani znaczy: tylko tyle? – odparłam spokojnie. – Co powinnam jeszcze przyjmować według pani?

Chyba nie spodobało się pigule to *dictum*. Brzmiało dość bezczelnie oraz arogancko. Mnie natomiast nie spodobał się jej wstępny komentarz. Czyżby pańcia właśnie zakwestionowała zalecenie ordynatora? Oj, nieładnie.

Na białawym odrapanym stoliku stała pokaźna taca ze szklanymi kieliszkami postawionymi na przyklejonych do tacy karteczkach z nazwiskami pacjentów i numerami pokoi. Ze szklaneczek wesoło spoglądały na mnie kolorowe pastyleczki. Moje nazwisko miało pojawić się tam przed wieczorem, a w kieliszku znajdować się powinna tylko jedna, maleńka, podłużna tabletką. Nasenna.

Większość moich kolegów i koleżanek przyjmowała leki dwa bądź trzy razy dziennie. Tace, na którą pa-trzyłam, przygotowano na turę poobiednią.

– No to chyba muszę to wyjaśnić – stwierdziła kwaśno pani pielęgniarka, kobieta w średnim wieku i o nieszczególnej fizjonomii, po czym sięgnęła po słuchawkę telefonu.

Przyglądała mi się z nieskrywanym zdumieniem, lustrowała, oceniała.

Tymczasem przed pielęgniarską kanciapą zebrał się kilkusobowy tłumek gapiów płci męskiej. Ci także oglądali mnie z dużym zainteresowaniem, komentowali nowy szpitalny nabytek, oceniali „świeży towar”, głośno robili zakłady, który z nich poderwie mnie najpierw i najbardziej skutecznie.

– Oj, chłopcy, chłopcy! – Odwróciłam się i zagadałam bezpośrednio: – Dzień dobry wszystkim.

Do podobnych kretyńskich komentarzy przywykłam podczas kilku pobytów w resortowych sanatoriach. To nie była dla mnie pierwszozna. Spływały po mnie jak po kaczce.

Nie mienie się ekspertką od bycia kobietą. Bynajmniej. Bardziej odpowiadają mi klimaty męskie, podobne do tych tutaj. Dziwne to, ale bardziej rozumie facetów.

Kretyńskie? Te klimaty. Może czasami bywają trochę kretyńskie. Sądę jednak, że mężczyźni są mniej skomplikowani niż my, kobiety. Prości niczym konstrukcja cepa, przewidywalni.

Dla chłopca liczy się kilka prostych rzeczy: najeść się, napić, odpocząć, oddać ulubionemu zajęciu, a to najlepiej w męskim gronie. Oraz, delikatnie rzecz ujmując, przespać się z kobietą dla relaksu. Optymalnie kilka razy, jednakowoż bez zobowiązań i konsekwencji.

– Zabezpieczyłaś się? – pyta pan.

– Oczywiście! – odpowiada pani. – Jak możesz teraz o to pytać? – dodaje, udając urażoną.

– No bo wiesz, gdybyś zaciążyła, ja się na pewno nie rozwiodę. I nie będę łożyć na cudzego bachora.

– No wiesz? – oburza się pani, na moment strzela focha, po czym idzie z panem do łóżka.

Raz bez konsekwencji, a raz z nimi.

Czyż nie tak to przebiega?

Do kantorka pielęgniarek cały czas ktoś wchodził, zerkał na mnie z nieskrywanym zaciekawieniem zza grupki stłoczonych kolegów. Wieszał klucz lub zabierał jakiś z dużej tablicy, co od razu dało mi do myślenia, rozglądałam się bowiem ciekawie i odnotowywałam każdy szczegół. Potem pacjent przystawał, dołączał do grona dyskutantów lub odchodził do swoich zajęć.

– Oczywiście. Proszę bardzo. Postoję i poczekam – odparłam obojętnie.

Piguła dodzwoniła się w końcu do pana ordynatora. Wyłuszczyła problem, wymieniła moje nazwisko, jakby tych nowo przyjętych Agnieszek były setki. Potem odebrała krótki i zdawkowy komunikat, odłożyła słuchawkę. Na końcu zwróciła się do mnie.

– Ooo. Coś takiego? A jednak nie pomyłka. Dziwne.

Nie zareagowałam. Bo po co? Niech sobie dzwoni, potwierdza, pyta, kwestionuje, dziwi się. Dla mnie dziwne było raczej jej zdziwienie.

Stałam sobie spokojnie, cierpliwie czekałam na wyznaczenie pokoju, klucz do niego oraz dalsze instrukcje. Spieszyło mi się jedynie do toalety, ponieważ bardzo chciało mi się siusiu. Jednakowoż utar-

(Ciąg dalszy na stronie 33)

(Ciąg dalszy ze strony 32)

te procedury wymagają cierpliwości. Tutaj niepodzielnie rządziła ta niemiła pielęgniarka.

Poza wspomnianym przymusem skorzystania z toalety nie spieszyło mi się zbytnio i nigdzie. A z obserwacji nowego miejsca i reakcji ludzi czerpałam niebywałą radość. Chyba nawet udało mi się jakoś zareagować mimicznie i wydobyć z ust koralików coś na kształt lekko ironicznego uśmiechu.

Nie. Podczas tej mojej swoistej szpitalnej akomodacji, cokolwiek znaczy to określenie (literalnie akomodacja jest przystosowaniem, dokładniej terminem medycznym oznaczającym umiejętność dostosowania istniejącego układu do panujących warunków), nie wyzbyłam się emocji, empatii, odczuwania, reagowania na bodźce zewnętrzne. Chociaż przyznam, że bardzo chętnie zrobiłabym to właśnie wtedy. Czyli wyzbyłabym się do cna.

Tak bardzo chciałabym nie myśleć, reagować tylko fizjologicznie, móc się skoncentrować jedynie na własnym ego i komforcie mojego istnienia w tej odizolowanej od normalnego świata pieprzonej społeczności.

Jakoś tak znienacka naszła mnie kolejna mglista refleksja. Taka mianowicie, że oto tu i teraz, na wstępie pobytu i w przedśionku szpitalnego oddziału B, zaczęłam nabierać realnego dystansu do zjawisk tam panujących.

Brawo, Agniecha! O to chodzi. Tak trzymaj!

Aha. Te cholerne klucze.

Co dało mi do myślenia? Widok wiszącej w pokoiku dużej tablicy z kluczami i numerami pokoi oraz sposób obsługi tejże.

Ludzie, to znaczy pacjenci, wchodzili do kantorka piguł, wychodzili. Wieszali, zabierali. Pielęgniarka była obecna albo nie. Generalnie w głębokim poważaniu miała pilnowanie, co je czyje. Kantorka nie zamykano.

Czy wieszany lub zdejmowany i zabierany klucz rzeczywiście otwierał drzwi pokoju tego wchodzącego, czy może zupełnie inne?

Wiadomo było od razu, w sensie, że widać było gołym okiem, kogo nie ma w pokoju, a kto jest. Co najważniejsze, można było spokojnie wziąć sobie klucz sąsiada (albo sąsiadki), wejść do jego (jej) lokum, poczęstować się kawą, kostką cukru, zegarkiem albo stówką przygotowaną na poobiednie zakupy. Fetyszysta mógł pomacać i powąchać majtki pięknej koleżanki albo nałożyć na grzbiet przepoczoną koszulkę ulubionego kolegi.

Niby mieszkali tutaj resortowi sami swoi, z założenia uczciwi i prawi, ale w każdym środowisku zdarza się czarna owca.

Gdy tak stałam i czekałam na pielęgniarskie zmiłowanie, to znaczy pozwolenie odmeldowania się do kibelka, odezwała się we mnie oficerka służb specjalnych i połowica gliniarza detektywa. A to zobowiązuje, nakazuje zachowanie czujności. Choćby tylko z racji wieloletniego obcowania oraz dzielenia łóża z dobrym gliniarzem.

– O nie. W życiu. Nie ze mną takie numery.

Właśnie narzuciłam sobie przymus realizacji zadania na dzisiaj. Pilnego, priorytetowego. Muszę doroobić klucz! Nie będę niczego wieszać i zostawiać, wystawiać dóbr materialnych na pokuszenie. Niech mnie siekają, karzą za przewinienia, przekonują, że tak trzeba i że to dla mojego dobra.

Nie zabrałam ze sobą do szpitala całego mojego majątku, ale nie zwykłam narażać na szwank mojego prywatnego mienia ruchomego. Przy sobie miałam parę dość cennych drobiazgów, utrata których narobiłaby mi niezłego bigosu: telefon komórkowy, ze dwa złote pierścionki, złoty łańcuszek z sentymentalnie wartościową zawieszka, kartę bankową i jakieś niewielkie pieniądze w gotówce.

Wspomniany wyżej telefon komórkowy, przedmiot zazdrości i podziwu, w tym czasie (to znaczy u schyłku lat dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku i na samym początku dwutysięcznych) generalnie stanowił rzadkość. Był nowinką techniczną, bardzo pożądanym gadżetem cholernie ułatwiającym życie i komunikację z najbliższymi.

Przez cztery tygodnie pobytu trzymałam go w szufladzie szpitalnego nakastlika (przyłóżkowej szafki), a korzystałam od dwóch do pięciu razy dziennie.

Telefon komórkowy służył mi głównie do sprawozdawania Chmielewskiemu, co, gdzie i jak. To znaczy: co robiłam, gdzie byłam, jak się czuję. Co jadłam, gdzie spacerowałam, jak się bawiłam i z kim. Dalej, do bieżącego instruktażu werbalnego: co chłop ma kupić albo odmrozić, do kogo i po co zadzwonić, w jakim proszku wyprać rodzinne brudy.

O mojej komórce wiedziały tylko moje dwie najbliższe pokojowe koleżanki, potem jeden szpitalny kolega.

Nie zamierzałam epatować widokiem absolutnego bogactwa i przynależnością do służbowego *high life'u*, jak postanowił uczynić jeden z moich pierwszych szpitalnych adoratorów, przepoczwarzony potem w zdeklarowanego adwersarza. Ten bowiem stale nosił przy sobie telefon, jakby to był efektowny pryszcz na tyłku. Jarek (tak miał na imię właściciel komórki) zabierał telefon na zajęcia, treningi psychologiczne, lokalne potańcówki i inne grupenseksy. Zawzięcie gadał przez wypasioną komórkę nawet przy posiłkach, chwalił się nią na lewo i prawo,

(Ciąg dalszy na stronie 34)

(Ciąg dalszy ze strony 33)

oczekując poklasku. I takowy otrzymywał. Wzbudzał nieskrywany podziw oraz zazdrość, z czego był arcydumny.

Nadęty snob i palant!

U mnie natomiast Jarek nie wzbudzał podziwu, tylko niepoahamowaną niechęć, wręcz organiczną odrzę. Pytanie, po co on to robił?

Ponadto posiadanie naówczas bardzo nowoczesnego i modnego gadżetu tym bardziej mogłoby narazić na pokuszenie pacjenta o lepkich rączkach. Policjant, żołnierz, klawisz, ale wariaci podobni do mnie. Niektóre pokusy oraz chęć posiadania dóbr materialnych determinują ludzkie zachowanie.

Reasumując, klucze należało dorobić jak najrychlej. „Przezorny zawsze ubezpieczony”? Poniekąd. Tak brzmiało jedno z pierwszych haseł reklamujących usługi naszej narodowej ubezpieczalni. Podobne banery, tylko po niemiecku, rosyjsku, czesku, węgiersku zdobiły wiadukty, słupy ogłoszeniowe i publiczne toalety w dużych miastach wszystkich europejskich demoludów. Dlaczego zatem nie skorzystać ze starego i sprawdzonego porzekadła?

Właśnie.

Zaraz po zainstalowaniu się w pokoju omówiłam z koleżankami taktykę i metodykę oraz logistykę dorabiania.

– Dziewczyny, ile mamy kluczy do pokoju? – zapytałam, przechodząc do meritum.

– No, jeden – odpowiedziała mi Ela.

– Żartujesz? – zdziwiłam się bardzo. – Jak to, jeden?

– Nie żartuję. Był jeszcze jeden, i nie ma.

– No wiesz, były dwa klucze, ale kilka dni temu wyjechała twoja poprzedniczka i chyba omyłkowo zabrała jeden ze sobą – potwierdziła Danka, nakreślając z grubsza bieżącą sytuację.

– A, to w takim razie dorobię nam dwa. Po obiedzie idę do centrum. Coś jeszcze mam załatwić?

– No ale przecież musimy zostawiać klucze w dyżurce na tablicy – zawahała się Ela.

– Nie mam najmniejszego zamiaru – odpowiedziałam kategorycznie. – Ktoś to w ogóle sprawdza? Każdy może wziąć nasz klucz. Przez pomyłkę albo celowo.

– No niby nikt nie sprawdza. Kurde blaszka, nie pomyślałam. Masz rację. Słyszałam nawet, że komuś już coś już zginęło... – przyznała Danka, która leczyła się tutaj najdłużej z nas trzech.

Fakt. Zginęło. Przedtem i potem. Kilka dni później z damskiego lokum na drugim piętrze naszego bloku zginęły pieniądze i złota biżuteria. Dwie lokatorki poszły na zajęcia, powiesiły klucz na tablicy, a zło-

dziej obsłużył się sam. Bez zbytniego problemu. Nikt niczego nie widział. Piguła zapewniała, że to niemożliwe. Że cały czas była na miejscu, a do budynku nie wszedł nikt obcy. A co niby miała powiedzieć? Że ma to głęboko w nosie? Że przez dwanaście godzin nie wychodziła z kantorka nawet na siku?

Kto zatem okradł koleżanki?

To proste. Swój!

Trzecia żelazna zasada, której złamanie zagrożone było natychmiastowym wydaleniem ze szpitala, to udział w każdych przepisanych zajęciach terapeutycznych. Nie musiał być czynny. Ten udział. Wystarczyła obecność bierna i fizyczna.

A tych zajęć trochę otrzymałam. Nie tylko ja. Inni mieli ich znacznie więcej, bo tamtym zalecono zajęcia terapii manualnej. Jednej z paru dostępnych, do których ja ponoć się nie nadawałam.

Wszędzie skwapliwie sprawdzano obecność, przeprowadzano pogadanki profilaktyczno-ostrzegawcze, rozliczano nas z każdej absencji, przepytowano na okoliczność nieobecności lub spóźnienia. Ustalano termin odrabiania zaległości.

Trzeba było mieć rzetelne oraz wiarygodne alibi, by nieobecność na zajęciach uznano za zasadną. Na przykład rozwolnienie, zatwardzenie albo czekanie we wspólnej korytarzowej łazience na ciepłą wodę pod natryskiem.

Wyliczankę przepisywanych zabiegów zacznę od najważniejszego zabiegu psychologicznego, czyli od przymusowego codziennego treningu autogenego (w skrócie nazywanego autogensem).

Dodam, że na wzmiankowany wyżej seans relaksacyjny trzeba było poświęcić prawie godzinę. Na nasze szczęście odbywał się na miejscu, czyli na jednej z salek gimnastycznych mojego bloku B, i tylko w porze przedobiedniej. (Dla mieszkańców naszego bloku, ponieważ ci z bloku A relaksowali się u siebie). Przed wejściem na seans pani psycholożka sprawdzała obecność, liczyła pacjentów, przyglądała się ubraniu i wnoszonym przedmiotom. Niczym celnik w porcie lotniczym przed odlotem turystów na antypody.

Założenie było słuszne. Kontrola wydawała się ze wszech miar zasadna.

Gorzej wyglądała sprawa realizacji owych odgórnych założeń, ale to już kwestia indywidualnego odczucia pacjenta. Oraz innych, nie do końca pojętych przeze mnie korzyści dla szpitala.

W Jeleniej Górze Cieplicach znaleźliśmy się z powodu zgubnych skutków wykonywanej służby (ja), problemów rodzinnych i osobistych (moja koleżanka z

(Ciąg dalszy na stronie 35)

(Ciąg dalszy ze strony 34)

pokoju), presji związanej z finansami (nikt się nie przyznał, ale kto wtedy jej nie miał?) i innych schorzeń dotyczących ludzką psychikę. Na skutek czego doświadczyliśmy przewlekłego stanu napięcia i stresu, które oddziałują na cały organizm, objawiając się również odczuwalnym napięciem mięśniowym.

Teoretycznie tak było.

(Ja sama odczuwałam głównie niedobory snu, ale każda nerwica jest także kwestią indywidualną).

W stresie ludzki organizm się napina, zaciska mięśnie, będąc gotowym do działania i obrony. To natomiast może powodować dodatkowe dolegliwości bólowe i dyskomfort fizyczny.

(No, przyznaję. Miałam taki. Głównie migrenowy).

Somatyczne objawy stresu bywają bardzo bolesne i nieprzyjemne. Mogą pojawić się towarzyszące bóle kręgosłupa – między innymi bolesne napięcie odcinka szyjnego, a także mdłości, bóle głowy, bóle mięśni, a nawet mimowolny zacisk szczęki i wynikający z niego niekontrolowany bruksizm, czyli zgrzytanie zębami.

Przewlekły stres ma niebagatelny wpływ na stan zdrowia organizmu i może być podłożem wielu innych chorób i dolegliwości.

Ja nie zgrzytałam zębami. Przynajmniej w tamtym czasie nie zgrzytałam niekontrolowanie. Nie stwierdziła tego także moja wspaniała dentystka, którą odwiedzałam regularnie, zachowując zasadę szeroko pojętej profilaktyki. Zdarzało mi się zgrzytać w sensie przysłowiowym, a to w starciu z głupotą oraz indolencją moich służbowych współpracowników, szefów i adwersarzy. Doświadczyłam okazjonalnie, jako dziecko cierpiące na zakażenie przykrą chorobą nazywaną popularnie owsicą.

Ktoś z mojego otoczenia szpitalnego na pewno zgrzytał zębami, na przykład jedna z moich najbliższych towarzyszek niedoli, o co podejrzewałam ją od początku, a do czego przyznała się wreszcie, czyniąc to ze wstydliwym zażenowaniem.

W nierównej walce z napięciem i stresem, zarówno psychicznym, jak i fizycznym, pomoc miały nam właśnie owe techniki relaksacyjne, polegające na zwalczaniu napięcia mięśniowego i w związku z tym – na niwelowaniu owego stresu.

Systematycznie wykonywane ćwiczenia rozwijają samokontrolę, panowanie nad ciałem, spójność ruchów i ogólną świadomość ciała.

– Aha.

Techniki relaksacyjne mają wiele zalet dla organizmu. (Wróć! Mieć powinny). Poza niwelowaniem stresu spokojne systematyczne ćwiczenia ciała (i „relaks”, cokolwiek on oznacza) pozwalają wyrównać

ciśnienie krwi, co wpływa pozytywnie na pracę serca i układu nerwowego, a u pacjentów z nadciśnieniem i padaczką zmniejsza objawy i dolegliwości spowodowane tymi przypadłościami.

(Poczytałam, posłuchałam, nauczyłam się, to wiem. Nie mam żadnego powodu do kwestionowania mądrych wywodów naukowych. Tym bardziej że nie stwierdzono u mnie ani nadciśnienia, ani padaczki). Uważam jednak, ja, Agnieszka Wallicht-Chmielewska, że z relaksem bywa tak jak z rozrywką. Zależy, co kogo rozrywa. Jednych rozrywa spacer po dywanie jesiennych, parkowych, szeleszczących liści, innych oglądanie odmóżdżającego serialu telewizyjnego (wtedy leciał już kultowy *Klan* i rozrywał wielu ziomków, co do zasady), jeszcze innych rozrywa, porywa i wyrывa hałaśliwy koncert rockowy. Najczęściej jednak porządnym rozrywaczem jest flaszką prząsnej białej wódki, spożywana samotnie, samowtór bądź samotrzeć.

W stanie zbawiennego relaksu zwalnia i pogłębia się oddech, zwalnia serce, zmniejsza się zużycie tlenu i napięcie mięśniowe. Dalej, rozszerzają się niektóre naczynia krwionośne i spada tempo przemiany materii. Taki kontrolowany relaks jest rodzajem przyjemnej psychicznej i fizjologicznej demobilizacji, którą odczuwa się jako wewnętrzny spokój, odprężenie, błogostan oraz łagodną euforię.

Tak sobie myślę, ba, przekonałam się oraz poparłam praktyką, że podobne doznania może dawać miłość. Najskuteczniejsza jest ta fizyczna. (Nie tylko metafizyczna). Delikatny akt płciowy, bliskość, czuły dotyk, namiętny pocałunek. Jednakowoż o tym potem. Błogostany można uzyskać drogą odpowiedniego treningu, podczas którego organizm niczym akumulator ładuje się dodatkową życiową energią.

Teraz przytoczę naukowy konkret.

Jedną z bardziej znanych technik relaksacyjnych jest właśnie trening autogenny J.H. Schultza. Technika ta składa się z dwóch rodzajów ćwiczeń: odczuwania ciężaru ciała oraz jego ciepła. Ćwiczenie treningu autogennego polega na rozluźnianiu ciała (swojego), a następnie na stosowaniu autosugestii w bardzo prostej formie. Tekst autosugestii najlepiej nagrać.

No i chyba codziennie niezmiennie, wręcz namiętnie przerabialiśmy właśnie tego cholernego Schultza. Po trzech minutach słuchania taśmy Schultz zaczął wylazić mi uszami, po trzech sesjach doszłam do stanu psychicznej pseudonirwany. Dokładniej ujmując zjawisko osiągniętego przeze mnie autorskiego błogostanu, wygasiałam w sobie umiejętność przyswajania tego, co nagrano i puszczano. Nadmie-

(Ciąg dalszy na stronie 36)

(Ciąg dalszy ze strony 35)

niam, że bardzo daleko było mi do ostatecznego wyzwolenia od bytu indywidualnego, ale zaczyn jakiś chyba był powstał.

– Rany! Znowu muszę słuchać tych samych nagrań?

– Ratunku...!

Spółem kładliśmy się na rozłożonych materacach, słuchaliśmy tekstu nagranych na taśmę magnetofonową. Wszyscy jak jeden mąż powinniśmy byli czerpać z tego zbawienny dla organizmu relaks. To znaczy leżeć (plackiem), oddychać (miarowo), kontrolować stan organizmu (lewitalny), jednym uchem wsłuchiwać się w muzyczkę sączącą się między wersami (taką niby naturalną: szum morskich fal, dzwoniący polny skowronek, szemrzący górski strumyczek. Ptaszki, sraszki, dupaszki), drugim chłonać tekst mówiony.

Nie gadać, nie myśleć (chyba że o niebieskich migdałkach).

Już w pierwszej minucie takiego relaksacyjnego autobłogostanu zaniepokoiłam się nie na żarty. Mój organizm, soma, psyche, mózg, każdy por skóry oraz każdy milimetr owłosienia wydawały się powstać w gotowości do jawnego buntu. Wszystko we mnie domagało się aktualizacji. Niczym programy zainstalowane w komputerze nowej generacji.

– Nie! Do cholery, nie!

W tym miejscu pragnę przypomnieć, że do gromadki resortowych świrów dołączyłam zupełnie świadomie. Usiłowałam poddać się terapii, która niby miała mi pomóc na różne przypadłości, zrelaksować oraz odnerwicować.

A tu co się stało? Proszę. Wybaczcie mi współczesny kolokwializm, bo naszedł był mnie jeden wielki wkurw.

Na co właściwie? Co mnie tak strasznie wnerwiło jeszcze na fal-starcie?

Spieszę wyłuszczać.

Primo: Okoliczności zewnętrzne.

Moje najbliższe otoczenie. W tej sali od razu zaczęło śmierdzieć. Szczególnie mnie. Czym? Niepranymi koszulkami przesiąkniętymi starawym męskim potem, mocno nieświeżymi skarpetkami z rozpoznawalnym niemiłym w odbiorze odorkiem nieleczzonej grzybicy stóp, wyziewami charakterystycznymi dla osób, które jakiś czas wcześniej spożyły parę procentów, albo regularnie nie dbają o higienę jamy ustnej.

Najogólniej rzecz ujmując. Staram się być delikatna w osądach.

Fakt, że po jakimś czasie ludzkie nozdrza przyzwyczajają się do woni, zaczynając je tolerować, potem

ignorować. Ale moje nozdrza uchodzą za nader nadwrażliwe, toteż nie mogłam pohamować odruchu wymiotnego. Błeee...

– Kurza twarz, ci ludzie się nie myją!

Warunki nie były tam hotelowe, nie mieszkaliśmy w Hiltonach, a wspólne łazienki z prysznicem (albo wanną) znajdowały się na korytarzach. W większych pokojach zainstalowano tylko umywalki. Ale bieżąca woda była ogólnie dostępna, leciała z kranów. Czajnik także stał do dyspozycji pacjentów, dano nam miski do prania, a mydło można było kupić.

Aj!

A może w salce gimnastycznej nie jechało wczorajszym piwką jasnym pełnym beczkowym, spożytym ukradkiem na zacisznej zdrojowo-parkowej ławeczce, tylko amoniakiem? Jakiś gość mógł cierpieć na przewlekłą cukrzycę, a ja byłam wredna i niesprawiedliwa? Zamiast mu współczuć, nieładnie oceniałam i krytykowałam? Bardzo być może. Jednakowoż stwierdzałam autorytatywnie:

– Tutaj cholernie cuchnie.

Jedynym ratunkiem oraz okrzepłym sposobem na zniwelowanie utrzymujących się smrodów jest wypuszczenie świeżego powietrza. Wstałam chyżo i rzuciłam się do najbliższego okna. Zaraz potem usłyszałam *vox populi*.

– Ty, zamykaj, bo zimno!

– To się przykryj!

– Sam się przykryj.

– Cicho! Nie gadajcie!

– To się myjcie, do diabła! – zabrał głos mój najbliższy sąsiad. Ten z lewej.

Ten z prawej cicho capiał spod pach i z ust. Jak diabli.

– Nie wyrobię – szepnęłam do lewego.

Facet był schludny, ogolony i niebrzydki. Rzekłabym, że nawet dość przystojny.

– Dopiero przyjechałaś? – zapytał sąsiad. – Nie widziałem cię wcześniej.

– Tak – potwierdziłam. – Agnieszka.

– Marek. Za cztery dni kończę i wyjeżdżam.

Skąd jesteś? Ja z Gdańska.

– Wrocław – szepnęłam.

Fajnie ma ten lewy. Kończy te pieprzone autogeny. I żyje w fajnym miejscu. Gdańsk jest uroczy, mieszkają tam moi serdeczni przyjaciele, poza tym świeżo mają, jodowo. Morska bryza koi nerwy. Odrzańska – szczególnie. Ale daleko stąd. Coś za coś.

Marek chciał jeszcze dodać jakąś kwestię, uzupełnić wypowiedź lub przepytać mnie na okoliczność, bo odpowiedzi monosylabami chyba nie zadowolili go do końca. Ale akurat do salki weszła nadzorująca

(Ciąg dalszy na stronie 37)

(Ciąg dalszy ze strony 36)

terapię pani psycholog i ostrym tonem poprosiła o ciszę. Nie podobało jej się zachowanie niesfornej części gromadki. Oj, nagrabiłam sobie na dzień do bry. Zapewne nie pierwsza i nie ostatnia.

Po chwili, nie mając nic lepszego do roboty, zaczęłam się wsłuchiwać w rozlegające się tu i ówdzie sapania, klaskania, mrużenia, pochrapywania. Zazdrościłam sąsiadom niekontrolowanego błogostanu, umiejętności rychłego przenoszenia się w chwilowy niebyt. Jak cholera!

Głos z magnetofonu, męski, nakazał mi skoncentrować się na mojej prawej nodze.

(...) Siedzę wygodnie. Jestem spokojny, zupełnie spokojny. Zamykam oczy. Oddycham spokojnie. Obserwuję swój oddech. Odczuwam spokój, błogi spokój. Oddycham lekko i spokojnie. Rozluźniam mięśnie wokół oczu. Moje oczy są pasywne, zwrócone do wewnątrz, rozluźniam nos, policzki i uszy. Odprężam mięśnie wokół ust. Moja dolna szczęka lekko opada, moja szyja nieco się wydłuża. Rozluźniam skórę na głowie w kierunku karku, rozluźniam kark i barki. Rozluźniam mięśnie prawej ręki. Prawa ręka jest ciężka, bardzo ciężka, nie mogę jej podnieść. Oddycham lekko, spokojnie. Odczuwam spokój. Rozluźniam mięśnie lewej ręki. Lewa ręka jest ciężka, bardzo ciężka, nie mogę jej podnieść. Moje obie ręce: prawa i lewa są bardzo ciężkie, przylegają do podłogi. Rozluźniam przód ciała. Moje piersi, pas, brzuch i podbrzusze są ciężkie, bardzo ciężkie, nie mogę ich podnieść. Ciężar z przodu ciała spływa na podłoże. Rozluźniam tył ciała, mięśnie wzdłuż kręgosłupa, pas, miednicę i pośladki. Tył ciała jest ciężki, bardzo ciężki, nie mogę go podnieść. Rozluźniam mięśnie prawej nogi. Prawa noga jest ciężka, bardzo ciężka, nie mogę jej podnieść. Oddycham lekko, spokojnie. Odczuwam spokój. Rozluźniam mięśnie lewej nogi. Lewa noga jest ciężka, bardzo ciężka, nie mogę jej podnieść. Moje obie nogi: prawa i lewa są bardzo ciężkie, przylegają do podłogi. Oddycham lekko i spokojnie. Całe moje ciało jest rozluźnione. Czuję ciężar całego ciała. Odczuwam głęboki wewnętrzny spokój. Całe moje ciało wypoczywa i powraca do harmonii...

– Auuu... Odczep się, do cholery! Wcale nie jestem spokojna! Wara od mojego ciała! I nie znoszę durnych harmonii!

O mało nie trafił mnie nagły szlag. Niczego nie byłam w stanie rozluźnić. Oprócz biustonosza. Zupełnie niepotrzebnie nałożyłam go pod koszulkę.

Zrobiło mi się niewygodnie i duszno, uwierał mnie stanik, piła gumka od majtek.

Jestem ciekawa, czy ten ktoś mądraliński także od-

dychałby lekko w takich śmierdzących okolicznościach.

Harmonia? Raczej kiczowata trąbka, pompka i lewerek.

I niby dlaczego mam móc podnieść moje podbrzusze? Albo nie móc? Na dodatek osobno od brzucha i od pasa. Ja mam chyba klasyczną kobiecą talię. Pod nią łono.

Szpitalne śniadanie było kiepskie, jajo zimne i przygotowane, kawałek margaryny cuchnął sztucznie. A fasoli ani kapusty nie spożywałam. Nie czuję się ciężko.

Właśnie. Muszę kupić sobie jakiegoś pomidorka, kawałek sałaty. Do kanapki. Dają nam trochę surowizny, nawet świeżej oraz jędrnej, czyli warzywka muszą pochodzić ze szpitalnej szklarni. Chyba.

Wszystko, o czym tutaj prawia, jest jakby bez sensu. Znaczący, że najpierw ciężkie członki, potem rozluźnione oddychanie. Zdecydowanie bardziej przydałyby mi się luźniejsze stolce. To na pewno. Požadane po podróży, w nowym miejscu i przy zmianie jedzenia. Na razie szykują się kilkudniowe zaparcia...

Oblesny grubas z prawej pochrapywał i śmierdzał. Marek oparł się na ramieniu i przyglądał mi z wnikliwym zainteresowaniem. To akurat mi nie przeszkadzało, ale nie bardzo wiedziałam, co mam ze sobą zrobić. Zdrętwiały mi odnóża. Usiadłam sobie po turecku. Właściwie przybrałam stosowaną na treningach jogi najpopularniejszą siedzącą asanę. Czyli swastikasanę zwaną czasami „pomyślną pozycją”.

Głową górowałam nad tłumkiem leżących czynnie lub biernie. To nie była żadna próba uprawiania konkurencyjnych odstressujących ćwiczeń jogi, pilatesu, callaneticsu albo innych takich modnych wynalazków dla zblazowanych pań, tylko lekka gimnastyka kręgosłupa i członków. Żeby nie leżeć bezczynnie plackiem. Leżenie za dnia mi nie służy. Zwłaszcza na nieświeżym materacu obłożonym w paskudną sraczkowatoburą dermę, kojarzącą mi się z otulinami służbowych drzwi.

– Uff. Lepiej mi.

Ale chyba nie wolno siadać. Na razie chromolę. Posiedzę trochę, dopóki nie otrzymam wyraźnego polecenia, żeby się położyć.

Wymyśliłam, że na kolejny trening autogeny wezmę coś do czytania. I ciepły sweter. A otwartego okna i napływającego z zewnątrz świeższego, rześkiego, zdrojowego powietrza bronić będę jak niepodległości.

Secundo: Okoliczności wewnętrzne.

(Ciąg dalszy na stronie 38)

(Ciąg dalszy ze strony 37)

Myśli i słowa.

Cholera, co za wkurzające dyrdymały. I ten upiornie kojący głos. Polski Kaszpirowski czy jaka inna spin-gwiazda dla maluczkich?

Gadający gość, ten z kasety magnetofonowej, ma notabene tembr głosu podobny do pana aktora Kolbergera. Krzysztofa. Taki miękki, przeszywający i świdrujący zarazem. Zdecydowanie łagodny. Zmiękczający kolanka, przyprawiający o bezdech... Nie, to nie on. Właściwie szkoda. Gość mógłby głośno czytać poezję, dajmy na to Gałczyńskiego lub Leśmiana, a nie bzdurstwa o moim pasie i piersiach.

Albo takie coś:

...Czuję szczególne ciepło w splocie słonecznym (miejsce między końcem mostka i pępkiem). Mój splot słoneczny jest bardzo ciepły. Ze splotu słonecznego płynnie strumień ciepła. Ciepło ogarnia całe moje ciało. Moje ciało jest ciepłe, tak jakbym zanurzała się w ciepłą kąpiel. Jedynie moje czoło pozostaje chłodne. Czoło zawsze jest chłodne. Jestem całkowicie odprężona i ciepła. Jedynie moje czoło pozostaje chłodne.

– Wara od mojego splotu słonecznego! Mój ci on!

Żeby była jasność, mogę narzucić nań białe giezełko. Efekt byłby jednak natychmiastowy i piorunujący. A czy na pewno o taki efekt chodziło? Po *dictum* o splocie od razu ścisnęło mnie w dolku. Akurat tam, gdzie znajdował się mój autorski splot, zwany czasami mózgiem brzuszynym.

Zaczęłam się zastanawiać nad sobą. Czy to tylko ja jestem taka popierniczona, niepodatna na trening autogeny, czy jeszcze ktoś z kolegów doświadcza czegoś podobnego? Ten Marek wydaje się sensownym facetem i reagującym podobnie do mnie. Może będzie okazja zapytać, zanim wyjedzie?

Cholera, tylko z kim ja potem będę leżeć? Kolega Marek dość wysoko umieścił towarzyską poprzeczkę.

Ja natomiast mam kłopot. Estetyczno-kulturowy.

Na szczęście kobiety wyposażone są w tak zwaną podzielność uwagi, która mogłaby uratować mnie przed poczuciem, że oto właśnie, tu i teraz, jestem manipulowana i indoktrynowana. Mam wrażenie, że ktoś tutaj chce mnie otumanić, wyrzucić wpływ, potem perfidnie wykorzystać moją nieuwagę, jak też chwilowe ośpienie. Może zahipnotyzować? Uśpić czujność? Po cholere?

O, nie ze mną takie numery. Nie dam się. Ani uśpić, ani zwerbować do niecznych celów. Nie poddam się bez walki. Tu: ewidentnie psychologicznej.

– Wojnal

Nie wstąpię do waszej sekty, nie będę krakać, kła-

skać, sapać i chrapać tak jak inni. Na pewno nie dobrowolnie. Nie bez kozery jestem oficerem polskiego kontrwywiadu. Nadal jestem. Z pewnością mentalnie i zawodowo. Choć *de facto* już trochę wyautowanym, nieczynnym i zepchniętym na służbowy margines. Z rzeczonym de-faktem (albo defektem) także muszę się wreszcie pogodzić.

– Chała! Pocałujta w dupę wójta...

Moją podzielność uwagi rozumiałam klasycznie, to znaczy jako umiejętność selekcji informacji i bodźców pochodzących z więcej niż jednego źródła. Tutaj selekcjonowałam zawzięcie.

Podczas mojej zaszłej pracy w organie, zwłaszcza ze słuchawkami na uszach, niemal do perfekcji doprowadziłam umiejętność skupienia się na więcej niż jednym aspekcie otoczenia jednocześnie. Z szumów i gadek mogłam wyodrębnić potrzebne mi informacje. Potem także z dokumentów, innych rozmów, kupki śmieci i fragmentów pogniecionych fotografii. Postanowiłam skoncentrować się właśnie na umiejętnościach nabytych i wrodzonych. Już od następnych zajęć.

Do dziś tak mam, że podzielność uwagi sprzyja sprawniejszemu wykonywaniu przeze mnie codziennych czynności i umożliwia realizację kilku skomplikowanych zadań naraz. Pamięć też mam niczego sobie. Czasami wydaje się to dość uciążliwe, jednakowoż podczas tamtego przymusowego autogenu mogło mnie uratować przed kompletnym ześwirowaniem.

– Rany, co ja tutaj robię? Te zajęcia nie są dla mnie. Kurde...

Raczej: co ja tutaj nierobię?

Miałam poczucie straconego czasu. I zmarnotrawionego. Nie lubię niczego marnować, wyrzucać do-brych i przydatnych rzeczy.

A czas?

Ba. Czas jest dla mnie jedną z najcenniejszych wartości. Jak samo życie, zdrowie, miłość, dobroć.

„Wolny” czas można wykorzystać na samokształcenie, kulturę, sztukę, spacer. Na napisanie okolicznościowego kupletu. Zagospodarować go mądrze, na przykład na autorozwój. Przeczytać książkę, wtulić się w stare, pachnące naturą drzewo, pooddychać górami albo morką bryzą.

A to coś tutaj? Te niby zajęcia prozdrowotne? Nie przypominają ani imprezy kulturalnej, ani pokazu sztuki. Choć towarzyszy temu muzyka i słowo.

Okoliczności towarzyszące treningowi autogennemu? Kolejna „kultura”. Kultura i media. Nie pokocham tych zajęć za chińskiego boga.

(Ciąg dalszy na stronie 39)

(Ciąg dalszy ze strony 38)

Wrrr...

Pomyślałam też, że przy najbliższej nadarzającej się okazji zapytam mojego lekarza o terapię alternatywną, o przepisanie mi czegoś innego zamiast tego aplikowanego na leżaco cuchnącego koszmarnu. Ale po chwili przypomniało mi się autorytatywne stwierdzenie przemiłego pana doktora o tym, że trening autogenny jest obowiązkowy. I nic nie zaproponuje mi w zamian.

Trudno. Jakoś wytrzymam. Tylko jak?

Może jednak uda się przemycić książkę? Choćby najdroższą. W każdym kiosku sprzedają niedrogie książeczki z poczytnej serii Harlequin. Okładki tychże mają kolor różowy, niebieski, bądź écru. Treść jakby bez treści, przypominająca raczej pseudoliteracką papkę, ale powieścielka traktują o miłości, namiętności i cierpieniu.

Nadają się na odmóżdzenie.

Klasyka gatunku. Lekkie czytadło. Pokojowa z hotelu poznaje milionera. To jest miłość od pierwszego wejrzenia. Był taki amerykański film *Pokojówka na Manhattanie*. To coś akurat dla mnie. Chyba.

Na bezsenne noce przywożłam sobie tylko jedną Chmielewską. Ostatnio wydaną. Dlaczego tak mało? Nie wiem. Zamroczyło mnie najwyraźniej. Trzeba będzie książkę dokupić lub wypożyczyć. W centrum Cieplic lub Jeleniej Góry warto poszukać księgarni, zapytać o bibliotekę.

Manikiur? Pedikiur? E, nie. Odpada. Nie uchodzi publicznie obnażać odnóży, obcinać, piłować i lakierować, i tak już nieświeżą atmosferę zasmradzać drażniącą, ohydą, acetonową wonią zmywacza do paznokci.

Szydełkowanie? To przecież wydaje się takim kobiecym, zajmującym, uroczym zajęciem. Tworzenie kamizelek, serwetek albo pokrowców na butelki.

Eee... Także nie. Szydełko (albo inny dźgok) stałoby się w moim ręku niebezpiecznym narzędziem. Nie dość że *stricte* manualna czynność podobnych robótek ręcznych wkurza mnie i irytuje (jak wędkowanie, cerowanie oraz prasowanie), to jeszcze nieopatrznie mogłabym komuś zrobić krzywdę. Albo niewinnemu materacowi. Wbić onemu szydło prosto w trzewia albo w jego zidentyfikowany splot słoneczny. I pozwolić zawyć z żalu wielkiego. Wówczas z lecznictwa otwartego trafiłabym do zamkniętego.

Nie. Z dwojga złego wolę zostać w tym półotwartym wariackowie.

Może spróbowałabym rozwiązać jakąś krzyżówkę? Moja koleżanka kupuje, może obdarowałby mnie doraźnie?

A rysowanie kwiatków i domków albo tworzenie listu do przyjaciółki? O! List. Pomysł godzinę dopra-

cowania.

Jakieś możliwości się znajdują. Chyba da się jakoś pożytecznie oraz konstruktywnie wykorzystać tę koszmarną godzinę.

I ta myśl dodała mi skrzydeł.

Drugim zaordynowanym przez nadwornego i resortowego specjalistę psychiatrę zabiegiem terapeutycznym (zarazem przymusem koniecznym) była muzykoterapia.

Szczerze? W tej formie leczenia nerwicy zakochałam się na zabój, i to od pierwszego wejrzenia. No, może nie dosłownie od wejrzenia, bo od pierwszej minuty spotkania przy muzyce.

Jak bowiem słusznie zauważył szwajcarski kompozytor i pedagog, twórca rytmiki Émile Jaques-Dalcroze: *Każde dzieło muzyczne powoduje zmiany wewnętrzne i czyni układ nerwowy bardziej harmonijnym*.

Muzykoterapia jest także terapią grupową. Co do zasady.

Dodam tylko gwoździ wyjaśnienia, że muzykoterapia jest dziedziną posługującą się muzyką lub jej elementami w celu przywracania zdrowia lub poprawy funkcjonowania osób z różnorodnymi problemami natury emocjonalnej, fizycznej lub umysłowej, w tym zaburzeniami depresyjnymi, nerwicowymi, zaburzeniami osobowości.

(Moje problemy wydawały się właśnie takimi „natury umysłowej”. Do Cieplic wysłano mnie z powodu zdiagnozowanych zaburzeń nerwicowych, nadawałam się zatem do tej zaordynowanej mi terapii. Bezapelacyjnie).

•

Teoria głosi, a ja zgadzam się z nią w całej rozciągłości, że muzyka odgrywa w życiu bardzo istotną rolę i jest jego nieodzownym elementem. Przede wszystkim pobudza wyobraźnię, uspokaja, poprawia nastrój, rozładowuje złe emocje, ale także wyraża nasze najskrytsze uczucia i pragnienia. Bardzo mocno wpływa na ekspresję twórczą, wyobraźnię i komunikację, inspirowanie do swobodnego myślenia, spontanicznego działania.

Tak. Prawda. W moim życiu muzyka odgrywa bardzo istotną rolę. Powiem więcej: w tym szpitalu jakby uratowała mi tyłek i pozwoliła na w miarę normalne funkcjonowanie. Oczywiście jedynie przy założeniu, że w takim ośrodku, jakim jest resortowy szpital specjalistyczny leczący dysfunkcje psychiczne, można w ogóle funkcjonować w sposób uchodzący za normalny.

W rozważaniach teoretycznych o muzyce często pojawia się stwierdzenie: „w życiu każdego człowieka”.

Ha. Właśnie. Teza wymaga głębszej analizy. Chyba

(Ciąg dalszy na stronie 40)

(Ciąg dalszy ze strony 39)

zapodana teoria nie dotyczy funkcjonariuszy resortów mundurowych. To znaczy, poniekąd nie wszystkich. Nie da się tego uogólnić, zamknąć w bezduszne, beznamietne ramy matematycznej statystyki. Tak samo jak światowe normy spożycia alkoholu nie dotyczą Polaków i Rosjan.

Ale po kolei.

Najpierw ogóły, potem szczegóły. Bardziej mój wariacki komentarz, wynikający z osobniczych reakcji na terapeutyczną akcję. Na te natomiast wpływ miało moje szczęśliwe, beztrioskie dzieciństwo, mnóstwo przeczytanych książek, odbyte podróże, wycieczki, obozy, rajdy i działalność społeczna. Dalej: harcerstwo oraz służba (dla Ojczyzny). Uwarunkowania rodzinno-kulturowe. Oczywiście także moje świeże, zawodowe, tajne rany oraz blizny, które miałam nadzieję nieco zaleczyć. Optymalnie także za pomocą zajęć z muzykoterapii.

Szybko okazało się, że trafiłam na zmodyfikowaną rytmikę.

Super. Ba, po prostu rewelacyjnie.

Muzyka, taniec, ruch. Choreoterapia. Tej nigdy dość. Wszystko społem. Jak w przedszkolu albo przy płonącym ognisku i szumiących kniejach na polanie obozu dla dzielnych druhów zuchów.

Co konkretnie ćwiczyliśmy tak dzielnie?

Odpowiadając na to istotne pytanie, wrócę na moment do teorii: na pewno koordynację ruchowo-przestrzenną. Jak to bywa na profesjonalnie prowadzonych rytmikach.

(Przynajmniej usiłowaliśmy).

Motorykę dużą i małą.

(No, w efekcie poprzestaliśmy na tej najmniejszej motoryczce, ponieważ na dużą, to znaczy ogólną zręczność ruchową, nie stało warunków, czasu ani cierpliwości).

Pamięć.

(Tę krótkotrwałą, bezpośrednią. Chyba).

Koncentrację uwagi.

(Koncentracja to umiejętność skupiania i utrzymywania uwagi na ściśle określonych zadaniach. Co do zasady. Jest konieczna podczas wszelkiego rodzaju świadomych działań. Z tym aspektem, ku jawnej oraz nieskrywanej rozpaczyci pani magister od psychologii, naszej grupie poszło znacznie trudniej).

Spostrzegawczość i refleks.

(Kłapa na całej linii. Kobieto, zapomnij! Nie tu, nie teraz i nie z tymi pacjentami).

Nawiązywanie kontaktu, umiejętność pracy w parach oraz w grupie.

(No, jakoś chyba się udało. Ale full kontakt nawiązaliśmy dopiero pod koniec cyklu zajęciowego).

Integrację społeczną.

(Nie zajmę stanowiska, ponieważ nie pojmuję zasady integracji społecznej w zaprezentowany tam sposób. Wyszła z tego dezintegracja środowiskowa, lekki jełczący kwas i bezsensowna wymiana zdań).

Słownictwo.

(Ha, z tym niby nie powinno być żadnego problemu, a paradoksalnie zaistniał jako największy i kluczowy. Ku niebotycznemu zdumieniu prowadzącej. Co odnotowałam? Nieporadne dialogi na cztery kulawe nogi).

Pierwsze zajęcia z przepisanej mi muzykoterapii rozpoczęły się jak klasyczna, książkowa terapia grupowa. Stosowana w leczeniu uzależnień, traum, bólu i innych odchyśleń psychicznych. Pojawiło się dwanaście osób, ponieważ liczniejsza grupa nie sprostałaby wymogom. To było dla mnie oczywiste.

Siedzieliśmy na krzesłkach ustawionych w okręgu, mieliśmy się przedstawić z imienia i miasta, gdzie mieszkamy i (lub) pracujemy.

Niby łatwizna. Ta prezentacja.

Najpierw przedstawiła się pani psycholog. Młoda niewiasta, tuż (to znaczy niespełna dwa lata) po studiach uniwersyteckich. Napomknęła uprzejmie, że także ukończyła z wyróżnieniem krakowską dyplomówkę z muzykoterapii. Jakby z góry zakładała, że ktoś z pacjentów może zakwestionować jej kwalifikacje, podważyć umiejętności oraz doświadczenie. Zapewne stało się tak wcześniej, stąd owo napomknięcie. Tak sędzę.

(Napomknięcie o wyróżnieniu stanowiło dla mnie dość irytujący, zupełnie zbędny zabieg psychosocjologiczny).

Już na etapie prezentacji członków grupki zrobiło się dziwnie. Nikt nie przyznał się do mieszkania lub pracy na poziomie powiatu, gminy lub wsi.

Dlaczego? Nie wiem. To znaczy, domyślałam się. Koleżeństwo się wstydziło. Czego? Wiochy. Na siłę chcieli podnieść swoją wartość. Jaką? Towarzyską? Uważali, że narażają się na śmieszność i przytyki? Niemożliwe, żeby nikt z tych siedzących nie mieszkał albo nie pracował w miejscowości mniejszej niż Warszawa, Kraków, Poznań czy Olsztyn. Połowa z obecnych facetów i jedna pani wyglądali i brzmiali zgoła inaczej. Przy prezentacji nie patrzyli na prowadzącego, tylko w podłogę lub w sufit. Kłamali albo tylko mijali się z prawdą. Ale po cholere?

Nie mnie było oceniać motywację grupowiczów, ale już wtedy przemknęło mi przez myśl, że pani magister będzie ciężko. Nie znałam tych ludzi, nie chciałam poznawać ich bliżej. Raczej dalej.

Wallichtowna, zachowaj spokój i dystans. Chcesz

(Ciąg dalszy na stronie 41)

(Ciąg dalszy ze strony 40)

odpocząć? Tak. Zrelaksować się? Jak najbardziej. To rób, co nakazuje ci rozsądek. Łam, czego rozum nie złamie. Wylatuj nad poziomy. Bądź sobą. Nie udawaj, nie pracuj. Niczego nie analizuj! Odpitolił się wreszcie od tej koszarnej roboty i wypływaj z tego toksycznego środowiska! Doga do twojego nowego Eldorado jest daleka, wyboista i kręta. Prowadzi przez góry, niziny i doły. Przez wartkie strumienie, zdradliwe bagna z pijawkami i rzeki pełne krokodyli, piranii i zdradzieckich wirów.

– Jasne. Rozumiem. Nie pracować. Nie służyć. Nie myśleć jak oficerka kontrwywiadu. Ja. Jajakobylu... Były...

Tak. Były. Czas przeszedł dokonany.

Ale jak to mam zrobić? Jak mam nie myśleć? Jak wyłączyć umiejętność używania rozumu? Gdzie jest ten kontakt – pstryczek-elektryczek?

Cholera, to takie trudne...

Rozum i empatia nakazywały mi pomóc jakoś tej napompowanej ideałami dziewczynie. Tyle tylko mogłam zrobić dla niej tu i teraz. I dla siebie.

– Najpierw posłuchajcie uważnie, potem o tym porozmawiamy – powiedziała pani magister (psychologii), następnie włączyła muzykę.

Pstryk.

Rozległy się przyjemne dźwięki *Wiosny. (Primavera)*. Czyli pierwszego koncertu skrzypcowego Antonia Vivaldiego z cyklu *Cztery pory roku*. Dokładniej preludium koncertu nr 1 E-dur.

Chyba nawet spodziewałam się właśnie tego utworu. Uśmiechnęłam się delikatnie, co pani odnotowała. Magnetofon robił lekko rżące „plim, plim, prrr”, a my obie przyglądałyśmy się reakcji członków grupy. Były zróżnicowane, indywidualne, czego także należało się spodziewać. Większość miała twarze nieskażone myślą. Jakby z otwartymi ustami żuli zleżałą gumę.

– Tak trzymać!

Tylko że wtedy ja w mojej ogromnej naiwności sądziłam, że każdy dorosły człowiek – sprawny umysłowo, absolwent szkół podstawowych i średnich, na dodatek osoba, która kilkanaście (lub kilkadziesiąt) lat wcześniej zaliczyła pozytywnie testy psychologiczne, wstępując do organu mundurowego, powinna kojarzyć tę muzykę. A przynajmniej znać nazwisko kompozytora. Od innych mundurowych zgromadzonych w szpitalu nie wymagam przecież doktoratów, dyplomów i jakichkolwiek wizualnych oznak wiedzy zdobytej na ten temat. Tylko... No właśnie, czego? Jakiegoś dwucyfrowego IQ. Na przykład.

Gdy tylko fragment utworu się skończył, pani po-

prosiła, aby opowiedzieć, co właśnie słyszeliśmy. Optymalnie także werbalnie opisać wrażenia, to znaczy, czy i jak się podobało. Dlaczego tak, jeśli tak, albo nie. Jakże mieliśmy osobiste odczucia, co widzieliśmy oczami duszy? Co namalowałibyśmy na obrazie, gdybyśmy mieli zrobić to teraz i otrzymali narzędzia w postaci papieru i farb? Oczywiście na podstawie usłyszanego utworu.

Nikt dobrowolnie nie zabrał głosu, nie zgłosił się na ochotnika. Ja milczałam uparcie. Miałam swoje powody. Kilka nawet.

No to psycholożka zaczęła wyznaczać.

– Pan? – Palec poszedł w ruch.

– Eee... Nieee... – Pan się skrzywił.

– Pani?

– Hi, hi... Nie wiem... Nic mi nie przychodzi do głowy. Ładna melodyjka. – Pani uśmiechnęła się kokieterijnie, łypiąc na sąsiada.

Fakt. Ładna ona. Melodyjka była epokowym odkryciem. Brawo!

– To może teraz pan? – moderowała uparcie magisterka.

– Może najpierw inni... No, na pewno nie ja. – Kilka lat starszy ode mnie, obleśny i śmierzący facet skrzywił się i obraził.

Ja załapałam się na połowę składu.

– Chętnie – odrzekłam z uśmiechem. – Pozwoli pani, że ja jednak wypowiem się na końcu? Znam tę muzykę, potrafię ją nazwać i wyrazić słowami, co czuję. Ale nie na tym polega ta terapia. Nie chcę, by koledzy sugerowali się moją opinią.

Ale zółzowata małpa ze mnie. Wiem. I wredna. Stałam się przy tym, by nikogo nie urazić. Przecież nie powiem tej kobiecie, że towarzystwo wydaje mi się cholernie prymitywne i za grosz nie nabyło wrażliwości muzycznej. Jakiegokolwiek wrażliwości. Nawet na bodźce zapachowe. Oraz zapewne nigdy u nich takowa nie nastąpi.

Rany!

Gdzie ja wdepnęłam? Skład rewelacyjny. Trafiło mi się jak ślepej kurze ziarno, psia mać. Co za bęcwały. Na myśl cisnęły mi się inne określenia, adekwatne, z których najdelikatniejsze brzmiało „gamonie”.

Po chwili wahania psycholożka wskazała ręką na faceta siedzącego najbliżej niej. Minę miała nietęgą. Nie spodziewała się takiego obrotu sprawy. Ten zaś facet nie wiedział, co ma najpierw powiedzieć. Dukał coś o tym, że się nie zna, że nie jest w szkole, że kobieta nie może go przepytować jak uczniaka.

– Może jeszcze zaczniecie nam stopnie stawić?

Magisterka miała lzy w oczach. Gość nakręcał się ze słowa na słowo. Po prostu zaatakował werbalnie

(Ciąg dalszy na stronie 42)

(Ciąg dalszy ze strony 41)

prowadzącą.

Względnie sympatyczną atmosferę trafił szlag.

– Dziękuję, to może pan? – Terapeutka wskazała następnego gamera.

– Eeee... tego... No, gdzieś to chyba już słyszałem... – rzekł mistrz intelektu i błyskotliwości. Kolejny taki.

Pani spojrzała trwożnie na zegar ścienny. Ewidentnie odliczała czas do końca zajęć. Zaplanowane były na pół godziny.

– Skoro koledzy nie chcą, to może rzeczywistość ja... – odezwał się drugi raz podczas tej sesji terapeutycznej.

– Proszę – ucieszyła się dziewczyna. I chyba odetchnęła z ulgą.

No to opowiedziałam. Kompozytor, tytuł cyklu i koncertu. Główne instrumenty muzyczne. Przyroda budząca się do życia. Strumień, kwiatki, żdźbła młodej trawki, nieśmiałe pączki, ptaszki. Nadzieja, radość, życie. Zima won, od teraz będzie cieplej. Lody stopnieją, przyjdzie wiosna.

Tak ogólnie. Krótko i syntetycznie, by nie przedłużać tego terapeutycznego absurdu.

Na końcu dodałam coś od siebie.

– Zawsze miło mi tego słuchać.

– A jaka pora dnia? – zapytała pani.

– Poranek?

– No, niezupełnie – odpowiedziała magisterka z triumfem w głosie. – Myli się pani. To świt!

O, jak uroczo! Oto panusia dorwała mnie na niewiedzy. Jak miło z jej strony, jak profesjonalnie. Tylko na kim ona chciała się zemścić albo odegrać? Czy to ja jej dopieklam? I czym? Co chciała tym osiągnąć? Oprócz zamanifestowania przewagi i niewątpliwej mądrości oraz nieomyślności.

Będę musiała uważać i nie odzywać się za często. Nie komentować, nie zadzierać nosa. I nie będę się wdawać w żadne dyskusje. Postaram się odpowiadać jedynie monosylabami.

No, pani psycholog, osóbką najmądrzejszą w całej wsi! Prowadzisz fajne, sympatyczne, relaksujące zajęcia, koncept pochwalam, ale już na pewno ci nie pomogę.

Niedoczekanie, pipo jedna!

A tak w ogóle, to mam, co chciałam. Po co zgrywałam cholerną intelektualistkę? Kretyńka ze mnie!

Ot co.

Podczas kolejnych zajęć tańczyliśmy „labado”. Następnie, płasząc nieudolnie, bawiliśmy się w chusteczkę haftowaną. W kółeczku, trzymając się za ręce. Bawiłam się ja i parę innych osób, które tymczasem przekabaciłam na swoją stronę. Ośmieliłam i

zachęciłam. Przede wszystkim moją postawą i uśmiechem. Ponieważ te osoby uznały, że mogą się ze mną zadawać bez uszczerbku na wizerunku i majątku.

Zrobiłam, co do mnie należało, pamięcią wróciłam do obozów i kolonii. Przeniosłam się w nieskalany problemami dziecięcy błogostan. Labado odstresowało mnie nieco, ale pierwotna młodzięcza radość nie trwała długo. Przerwał ją gbur.

– Nie. Na pewno nie. Co to jest? Nie będę tańczył jak ten głupek...

Jasne. Chciałoby się odrzec *ad vocem*: „To spróbuj zatańczyć jak tamten mędrzec”...

Gdy mój adwersarz rozdarł japo i powiedział psychołozce, co mu leży na wątrobie i że niedouczona młódka traktuje nas jak małe dzieci, pani znowu się splotkała.

A mnie wcale nie zrobiło się jej żal.

Potem, to znaczy tuż po zajęciach, widziałam, jak z nim rozmawia. Podśluchałam sugestię, aby lekarz prowadzący zaaplikował mu inną terapię albo innego prowadzącego. Chyba się nie udało, bo gość pojawił się na następnej sesji (musiał) i po swojemu pyszczył jak przedtem.

Cóż. *Nobody is perfect*... Ja wyciągnęłam jakąś korzyść z pierwszej lekcji. Potencjalną. A oni?

Pajacyki.

Tak nazywałam nasze niezbędne zajęcia gimnastyczne. Nie tylko ja, ale miano było dobre oraz adekwatne. Nie siliłam się, aby zmieniać. Skoro dobre? Trafiłam do porannej grupy młodych (prawie), sprawnych (inaczej), żwawych (w porywach) funkcjonariuszy resortu mundurowego, którzy każdy dzień kuracji zaczynali od stękania. Koncentrowali się głównie na kombinowaniu, jakim sposobem wymigać się od gimnastyki. Poranny rozruch służył mi doskonale, ale pierwszy przećwiczyłam w samych skarpetkach. Jeszcze czystych.

W podpiętej pod skierowanie do szpitala instrukcji pobytu napisane było wyraźnie: zabrać dresy i obuwie sportowe. No to spakowałam lekkie adidasy pasujące do lekkich, wygodnych dresów domowych. Zabrałam także drugi komplet cieplejszych butów sportowych służących mi do poruszania się na zewnątrz.

Pan magister od wuefu obsztorcował mnie za te adidas i nakazał nabycie zwykłych tekstylnych tenisówek. Na nic się zdało moje tłumaczenie, że przecież założyłam halowe obuwie sportowe. Pan mi nie uwierzył. Co do zasady.

– Dobrze. Nabędę.

Niech mu będzie. Sporu także nie będzie. Jego zaję-

(Ciąg dalszy na stronie 43)

(Ciąg dalszy ze strony 42)

cia, jego zasady.

Tego dnia w południe zakupiłam tanie tenisówki na najbliższym cieplickim targowisku. Chińskie były. Czarne. Brzydkie, ale odpowiednie. Innych nie było. Ale tak okropnie cuchnęły taną gumą, że wietrzyłam za oknem, a w ostatnim dniu pobytu wylądowałam w kubie na śmieci.

Skonstatowałam przy okazji, że pan prowadzący nie bardzo przykładał się do podniesienia w pacjentach poziomu sprawności fizycznej. Miał to w nosie. Przy-musową rozgrzewkę zaczynał od pajacyków.

No to z głupawym uśmiechem na ustach pajacowałam zawzięcie.

Pochwalam wszelaką formę kinezyterapii, choćby miałby to być tylko śmieszne przedszkolne pajacyki. Bawiłam się zacie, nie grymasiłam, tym samym stanowiłam wyraźną opozycję dla kolegów i koleżanek z mojej dość licznej grupy gimnastycznej.

– Znowu te durne pajacyki...

– A co byś chciał?

– Nie wiem...

Nadal zdumiona byłam wrogim podejściem pacjentów do zaordynowanych zabiegów. Zastanawiałam się, po co właściwie ci ludzie tutaj przyjechali. Niby byli jeszcze niestarzy, nadto zawody mundurowe (gliniarze, klawisze, trepy) wymagają względnej kondycji fizycznej, nie mówiąc o psychicznej. Ci tutaj byli książkowym przykładem galopującej destrukcji. Takie żywe, stetryczale, resortowe półtrupcy.

„Bez serc, bez ducha. – To szkieletów ludy...”.

Okropieństwo. Zgroza. Im nic się nie chciało. Kompletnie. Postawą prezentowali klasyczny tumi-wizm. Gdyby nie uważne oko trenera, jeden z drugim siadłby na parkiecie i sięgnął po kufel lokalnego piwa. A ten okrutnik (w sensie, że wuefista) kazał nam pajacować na stojąco. Potem pobiegać w kółeczku, sformować skoczny pociąg, położyć się na ręczniku, wykonać pozę siusiającego pieska, kilka skłonouklonów, pomachać rękoma nad głową. Na końcu gimnastyki spróbować sił w dziesięciu przysiadach oraz pięciu pompkach.

Przynajmniej na tym etapie pobytu udało mi się zachować względny dystans. Mało tego. Zaskarbiłam sobie ewidentną sympatię pana magistra, ponieważ przed pajacykami rozciągałam się zawzięcie. Tak sama z siebie.

Przyczyna? Przede wszystkim nocne oddziaływanie mojego niewygodnego wyrka. Przypadło mi sypianie na starym, wyleżanym, z uwierającą mój odwłok wystającą sprężyną. Dalej, budzenie się po leku nasennym, bo w końcu piguła zaczęła na mnie działać. (Kawa natomiast chyba jeszcze nie zaczęła). Chęć tak zwanego dania sobie po garach, rozruszania

urzędniczych członków.

Przysposabiałam się do biegania po Cieplicach, optymalnie do wypadu w góry, dotlenienia mózgu. Stymulacji układu nerwowego. Tak wyobrażałam sobie relaks i ów narzucony sobie dystans.

Co do samej sympatii magistra, to od trzeciej sesji gimnastycznej lokalny wuefista scedował na mnie dość niewdzięczny obowiązek prowadzenia pięciominutowej rozgrzewki. W tym czasie wychodził z sali ćwiczeń i załatwiał swoje sprawy.

Spodobało mi się to trenowanie koleżeństwa. Niektórym ćwiczącym – nie do końca. Do rozgrzewki wprowadziłam elementy choreograficzne, czyli podstawowe kroki tańców towarzyskich, głównie tak zwanej łaciny. Pajacyki zaś odpuściłam.

Przyznam z niemalym zdumieniem, że dużo większe zasługi miałabym chyba na niwie zwerbowania ich do innej współpracy. Na tym bowiem znałam się lepiej, w tym zakresie szkoliłam się i ćwiczyłam na żywych organizmach – o niebo inteligentniejszych, błyskotliwszych i bardziej doświadczonych. Ale gdy tylko zdałam sobie sprawę, że właściwie głęboko w dupie mam ich wszystkich i to, co inni o mnie sądzą, wtedy, jakoś w połowie pobytu, stwierdziłam, że skoordynowana terapia szpitalna zaczyna na mnie działać.

I o to chyba chodziło.

Skubanie.

Pan doktor dyrektor ordynator był tak miły oraz szlachetny, że nie zaordynował mi zajęć z terapii manualnej. Oszczędził mnie łaskawie. Chyba dlate-go, że mnie polubił.

A było takich kilka. (Wyrazów polubień oraz terapii manualnych).

Kobietom przypadły głównie prace ogrodnicze w przyszpitalnej szklarni, gdzie hodowano rzodkiewkę, zieloną sałatę masłową, szczypior i ogórki gruntowe (botwinka także rosła, ale ledwo wzeszła i nie zrywano). To znaczy świeże nowalijki. Na szczęście serwowano je nam do posiłków, dietę urozmaicano o akcent świeżych warzyw.

Dziewczyny w pocie czoła pielily, podlewały, pikowały i sobie podjadały. Poza szklarnią skubały zwiedle kwiatki prześlicznie kwitnących różaneczników, wśród których przeważały różowe i czerwone rododendrony oraz żółte i łososiowe azalie.

Przy ładnej pogodzie wszystkie ławeczki na szpitalnym skwerku pozajmowane były przez kuracjuszy. Opalali się, plotkowali, palili papieroski, randkowali. Najczęściej dotrzymywali towarzystwa paniom wyznaczonym w tym dniu do obskubywania suszu.

Panom przypadało koszenie trawy, drobne prace

(Ciąg dalszy na stronie 44)

(Ciąg dalszy ze strony 43)

naprawcze, malowanie płotków i ławeczek, oraz indywidualne robótki artystyczne w pracowni snycerskiej. Właściwie w klasycznym, nieźle wyposażonym warsztacie stolarskim. Oczywiście wszystko działa się tam pod opieką instruktora – technicznego pracownika ośrodka.

Po leczeniu koledzy wyjeżdżali wyposażeni w pamiętki. Nieco użyteczne, takie jak skrzyneczki, szkatulki albo karmiki dla ptaszków, oraz w artystyczne arcydzieła à la durnostojka, na przykład wyrzeźbiony z lipowego klocka starzec udający Ducha Gór. Albo drzewna miska na owoce, orzeszki lub chipsy. Aż miło było patrzeć na twórczą radość kolegów. Podziwiałam autentycznie. Paru znajomych odkryło w sobie pasję i obiecało kontynuować poszpitalnie. Mojemu panu doktorowi wdzięczna byłam za to docenienie oraz niedanie.

Skąd on właściwie wiedział, że ja nie lubię grzebać w ziemi? Że mierzi mnie skubanie, pielenie i podlewanie? Mądry gość. Świetny lekarz. Doświadczony psychiatra.

Ot co.

Piguły.

Czyli substancje nie ludzkie, nie pielęgniarские, nazywane ogólnie prochami.

Jak już wspominałam uprzednio, w tej sprawie miałam ewidentne fory. Uracono mnie tylko jednym małym lekiem, a to nasennym.

Przy spożywaniu zaordynowanych pigułek wszyscy doświadczali czynnej, acz niemiłej asysty pielęgniarów. Ponadto żolzy kazały łykać i popijać przy nich.

Z jednym wyjątkiem. Moim. Ja mogłam zabrać swoją tabletkę do pokoju, tam popijać, łykać albo... wyrzucać.

Po wstępnej fali zdziwienia nastąpiła fala aktów zażądania i buntu.

– Dlaczego ona nie musi, a ja muszę?

– A ona (Agnieszka) jest lepsza?

No, rzeczywiście wyglądało to tak, jakbym ja była lepsza od innych. Zwłaszcza w obszarze zażywania rzeczonych prochów.

Mnie natomiast niezbyt interesowało, co mają inni. Albo czego nie mają. Co łykają, na co chorują, jak działa na nich zaordynowany lek.

Dla większości szpitalnych kolegów i koleżanek byłam osobą bardzo tajemniczą, przeto niezwykle intrygującą. Szybko założyłam sobie na skrajne uczucia bliźnich. Właśnie przez mój uporczywy nonszalancki dystans. Też za cyniczną uprzejmość graniczącą z brakiem zainteresowania bratanie się z byle kim. Wykreowana przeze mnie poza towarzyska rzeczywiście mogła wkurzać, zarazem zaciekawiać.

Większość kobiet otwarcie mnie nie znosiła, ponieważ prawie wszyscy panowie wodzili za mną wzrokiem. Komentowali mój wygląd, ubiór, co rusz zasięgali opinii.

– Ty, Aga, idę na randkę. Może być ta koszula?

– Zasadniczo tak, bo wyprałeś. Gdybyś ją jeszcze podprasował, byłoby zdecydowanie lepiej.

– No to idę...

Dziewczyny czuły, że im zagrażam, wietrzyły konkurencję. Niby że ja pozabieram im szpitalnych narzęczych.

Moje pokojowe koleżanki zyskały na wartości towarzyskiej, dzięki mnie uplasowały się wysoko w hierarchii szpitalnych celebrytek. Ustawicznie wypytowano je o mnie, wpraszano się na kawę i „słuchanie płyt”.

Jak już wspominałam, prezentowany przeze mnie chłodny, pragmatyczny dystans wkurzał, jednocześnie intrygował. A ta moja jedna, biała, obła tabletkę wynoszona w kieliszku poza kantorek co wieczór przelewała czyjaś czarę goryczy.

Wchodziłam do wspomnianego kantorka, pytałam, czy mogę się poczęstować, brałam mojego procha i wychodziłam. Wszyscy inni musieli stać i patrzeć na tę jawną manifestację bezczelności. Bo jak inaczej nazwać można to, co robiłam?

A nie, jednak można nazwać inaczej. Prowokacja.

Koleżanka z pokoju, Danusia, trzymała pod poduszką fiolkę po cukierkach. W niej przechowywała niezjedzone leki. Psychotropowe. Przemyciała jakoś pod językiem, udawała, że popija, potem łyka.

Interesowało mnie bardzo, dlaczego nie wyrzuci ich do toalety albo do miejskiego kubła na odpadki.

– Może przydadzą mi się w domu...

– Ale do czego?

– Jeszcze nie wiem. Lubię mieć.

– Danuśka, tylko nie zrób nic głupiego... – prosiłam z troską w głosie.

Dziewczyna cierpiała na przewlekłą depresję i cyklicznie miewała myśli samobójcze. Kilkanaście leków psychotropowych połkniętych w jednej dawce przez żyłastego chudzielca doprowadziłoby niechybnie do pozbycia się nie tylko doraźnych problemów, ale i doczesnego życia.

Tej koleżanki nie miałam w dupie. Nie była mi obojętna. To był dobry człowiek, ale nieszczęśliwy, cholernie znerwicowany, z ciężarem problemów nie do udźwignięcia. I bez wsparcia najbliższych.

– Będiesz iść dzisiaj do miasta? – pytała niezmienne.

– Tak – odpowiadałam jak zwykle.

(Ciąg dalszy na stronie 45)

(Ciąg dalszy ze strony 44)

Do centrum Cieplic biegłam w każdej wolnej chwili. Bez zakupowego bagażu lażłam okreśną, dłuższą drogą przez ogródki działkowe i wał przeciwpowodziowy, a z powrotem, obładowana sprawunkami dla siebie i dziewczyn, gnałam wykoślawionym chodnikiem wzdłuż ulicy Cieplickiej.

– Coś ci kupić? Załatwić? – pytałam.

– No dzisiaj może tylko te moje wafelki. Kończą mi się. Ale chałwowe.

– A jak nie będzie chałwowych?

Kilka razy przecież nie było. Wyżarto całe pudło.

Jak ta dziewczyna może codziennie wpieprzać takie ilości słodkiego, nadzianego syropem glukozowo-fruktozowym? Błeee...

– No to jakieś inne. Mogą być śmietankowe albo orzechowe. Ale najbardziej lubię chałwowe.

– Wiem, Danuśka. Chałwowe.

Współspaczką potrafiła wtrząchnąć naraz nawet pół kilo tych wafelków. I nic jej po nich nie było. (Ja natomiast zeszląbym niechybnie. Z obżarstwa i przechałwowania). Nimi podnosiła sobie poziom endorfin, na ich widok jej oczy uśmiechały się na krótką chwilę, a na wychudzone kościste policzki spływał delikatny rumieniec. Niczym u wiejskiej dziewczyny myślącej o pierwszym pocałunku z parobkiem sąsiadów.

Przeszło mi przez myśl, żeby poprosić panią z lokalnych delikatesów o ściągnięcie większej partii tych Danusiniowych smakołyków. Jednak gdybym zakupiła od razu większą partię, Danką mogłaby ulec pokusie i zeżreć wszystkie naraz. A to w końcu mogłoby jej zaszkodzić.

Oczywiście, że zastanawiało mnie, dlaczego koleżanka nie wybiera się ze mną. Do miasta, na spacer, choćby jedynie do tych nieszczęsnych przydrożnych ciasnych pseudodelikatesów zawalonych pudłami i butelkami. Podobno Danką dyżurowała w pokoju, czekając na telefon, który jakoś nie dzwonił za często. Wolała siedzieć na łóżku, rozwiązywać jakieś swoje krzyżówkowe szarady albo czytać ilustrowane pisma dla gospodyń domowych. Co jakiś czas wychodzić pod blok na papierosa, tam w towarzystwie innych namiętnych palaczy odpalać kolejnego papierosa. Potem następnego. Cuchnęła okropnie dymem tytoniowym, co z kolei zniesmaczało mnie.

Nie nalegałam na wspólne wyjścia, jednakowoż spacer pomógłby jej na pewno. Także częstsze wychodzenie z pokoju. Oddychanie cieplickimi wałami mogłoby zadziałać tak samo terapeutyczne jak te jej cholerne wafelki.

Raz na tydzień moja zestresowana koleżanka przyjmowała kroplówkę z magnezu. Mówiąc językiem

szpitalnym, „brała w żyłę”.

Wlewu dożylnego z magnezu nie przepisywano wszystkim jak leci. Wskazanie lekarza było głęboko przemyślane i celowe. Jej schorzenia, zachowanie, sposób mówienia, ruchy ciała, nawet nocne lęki, bezsenność i zgrzytanie zębami na pewno wymagały drastycznej interwencji farmakologicznej. Oprócz psychologicznej. Paru innych pacjentów z bloku także załapało się na tę terapię, jednak nie wypytywałam ich, jak śpią, jak palą, czy piją i czy stale odczuwają migrenowe łupanie w skroniach. Albo na co są chorzy lub czy z „tych nerw” dali w mordę chamskiemu przełożonemu. W tym farmakologicznym kontekście interesowała mnie tylko moja pokojowa koleżanka, bo ją polubiłam. I ona lubiła mnie. Współlegzystowałyśmy nader sympatycznie.

Może w tym miejscu warto przybliżyć nieco istotę tego szpitalnego brania w żyłę.

Skąd pomysł?

Otóż w preparatach iniekcyjnych najczęściej stosowana jest forma siarczanu magnezu, której w suplementach doustnych raczej się nie spotyka. Ma ona pewną zaletę, dzięki której wlewy z magnezem są szczególnie atrakcyjnym rodzajem suplementacji. I szybkim.

Co oczywiste, magnezowa iniekcja odbywa się pod kontrolą lekarza lub doświadczonej pielęgniarki.

(U nas także tak było. Pacjent przychodził do kantorka, a kroplówka sączyła się z butli i wlewała w jego nakłutą żyłę. Optymalnie w ręce).

Siarczan magnezu bardzo efektywnie dostaje się do mózgu i zwiększa stężenie magnezu w płynie mózgowo-rdzeniowym.

Magnez ma też działanie tonizujące i relaksujące, co jest szczególnie odczuwalne tuż po kroplówce przy błyskawicznym wzroście poziomu magnezu we krwi, a następnie w płynie mózgowo-rdzeniowym.

Niedobór magnezu może być też przyczyną uczucia wyczerpania, ciągłego zmęczenia, a jego uzupełnienie sprzyja poprawie funkcji psychicznych i utrzymywaniu pożądanego poziomu energii.

Z relacji pacjentów wynika, że po wlewie większość czuje się bardziej zrelaksowana. Niektórzy, szczególnie przy pierwszych kroplówkach, odczuwają natomiast wręcz lekki przyływ energii, dzięki uzupełnieniu niedoboru i usprawnieniu gospodarki energetycznej. To też trochę widać. Policzki różowieją, pacjentowi robi się ciepło oraz błogo.

Wykazano również, że osoby cierpiące na depresję mają niższe stężenia magnezu w erytrocytach niż grupa kontrolna, a jego stężenie jest skorelowane z poziomem aktywacji układu nagrody w mózgu.

(Ciąg dalszy na stronie 46)

(Ciąg dalszy ze strony 45)

Zauważono wpływ na architekturę snu. Suplementacja magnezu u osób starszych wydłużała czas snu wolnofalowego oraz obniżała nocny poziom kortyzolu, co wskazuje na działanie ograniczające wpływ starzenia się na zmiany w jakości snu.

Również przy migrenach poziom magnezu jest znaczący. Wskazuje się, że niski poziom magnezu w mózgu jest istotnym czynnikiem zaangażowanym w mechanizmy powstawania migrenowych bólów głowy.

Co do zażywanych przez nas leków, to prawie każdy mógł wchodzić w interakcje z alkoholem. Wzajemne oddziaływanie alkoholu i leków jest bowiem nieuniknione.

Prawdopodobieństwo, że dorośli pacjenci świadomie pomieszaają jednak leki z alkoholem, jest (i było) bardzo wysokie, a konsekwencje takich kombinacji mogą być niezwykle groźne. Nadmieniam, że w re-sortowym szpitalu specjalistycznym nie było pacjentów, którzy ową mieszankę przyjęliby nieświadomie. Albo pod przymusem.

Przymuszano nas poniekąd jedynie do regularnego zażywania przepisanych leków, jednak przymus ów nie dotyczył spożywania napojów alkoholowych. Absolutnie nie.

Chyba że niegrzeczni chłopcy mieli taki przymus wewnętrzny. Albo towarzyski, względnie towarzysko-kulturowy. Tak bowiem większość pijących wyobraża sobie zaistnienie w towarzystwie, odreagowanie czterotygodniowej rozłąki z najbliższymi, albo... wolność. Sumienia i wyznania.

Aby wyrzucić pożądany efekt, lek – ogólnie rzecz biorąc – musi przeniknąć do krwiobiegu i wraz z krwią dotrzeć do miejsca działania, gdzie wywołuje określone zmiany w organie bądź tkance. Wpływ leku maleje z upływem czasu, w miarę jak jest on przetwarzany (metabolizowany) przez enzymy, potem usuwany z organizmu.

Stąd także dbałość o regularność przyjmowania. To oczywiste. Pilnowanie nas, zakazy i nakazy. Na tym przecież polega wszelakie leczenie. Na regularności i reżimie.

Poza tym wszyscy byliśmy pacjentami tej samej placówki leczniczej. Przybyliśmy świadomie oraz na własne życzenie. Niektórzy nawet specjalnie zabiegali o taki pobyt, właśnie w powyższy sposób wyobrażając sobie darmowy resortowy wywczas. I nie powinno nikomu zależeć, by stąd wylecieć dyscyplinarnie, potem jeszcze mieć kłopoty w firmie. Konkretniej: obniżone wynagrodzenie, pozbawienie premii, wpis do akt personalnych, kary dyscyplinarne oraz, co oczywiste, szlaban na szansę podniesienia podstawy wymiaru resortowej emerytury. Nie wspo-

minając już o tym najistotniejszym „rentowym” dodatku do emerytury, o który walczyliśmy, do którego zmierzaliśmy.

*

W ludzkim organizmie alkohol zachowuje się podobnie do leku: wędruje wraz z krwią, oddziałując na mózg, wywołując stan upojenia. Na koniec zostaje zmetabolizowany i usunięty z ustroju, głównie za pomocą wątroby.

Stopień, w jakim podana dawka dociera do miejsca działania, nazywamy dostępnością (*availability*) leku. Alkohol może wpłynąć na skuteczność danego preparatu farmakologicznego właśnie poprzez wpływ na jego dostępność.

Typowa interakcja między alkoholem a lekiem obejmuje kilka różnych procesów:

Po pierwsze, nawet jednorazowa dawka alkoholu (pojedynczy drink lub kilka drinków w ciągu kilku godzin, względnie pół litra piwa jasnego pełnego) może zahamować przemianę leku w wyniku rywalizacji o enzymy metabolizujące. Tego rodzaju interferencja wydłuża i wzmacnia dostępność leku, potencjalnie zwiększając ryzyko, że pacjent odczuje szkodliwe uboczne skutki jego działania.

Po drugie, stałe, to znaczy długotrwałe przyjmowanie alkoholu może wywołać proces przeciwny, czyli uaktywnić enzymy metabolizujące lekarstwo, zmniejszając tym samym dostępność leku i osłabiając jego działanie. Raz uaktywnione enzymy pozostają w tym stanie nawet pod nieobecność alkoholu, przyspieszając metabolizm niektórych leków jeszcze w kilka tygodni po rozpoczęciu „abstynencji”. Tak więc alkoholik, jakich w resortach mundurowych na morgi i hektary, który stosunkowo niedawno zaprzestał picia, może potrzebować wyższych aniżeli niepijący dawek leków, aby działały one terapeutycznie.

Nie dociekałam, który z kolegów był alkoholikiem, ponieważ nie interesowało mnie to w ogóle. Podczas trwającego ponad miesiąc pobytu w Cieplicach trafiłam na kilku takich. Jeden z nich nawet ujawnił się publicznie. Niestety.

Po trzecie, enzymy uaktywnione przez chroniczne picie mogą przekształcać niektóre leki w toksyczne związki, zdolne do trwałego uszkodzenia wątroby czy innych organów: nerek, żołądka, trzustki, kory mózgowej.

Po czwarte, alkohol może nasilić hamujący efekt środków uspokajających czy narkotycznych w miejscu ich działania w mózgu. Trzeba też zaznaczyć, że niektóre leki wpływają z kolei na metabolizm etanolu, działając tym samym na jego potencjał odurzający czy negatywne skutki picia.

(Ciąg dalszy na stronie 47)

(Ciąg dalszy ze strony 46)

Po piąte, sam alkohol może zaostrzyć objawy depresji.

Danka nie piła. Na szczęście. Palila jak smok, w nocy zgrzytała zębami, krzyczała, ale do alkoholu jej nie ciągnęło. Nie wiem, co bym jej zrobiła, gdyby jednak pociągnęło. Znalazłabym szydło i wbiła w ten jej chudy tyłek. Chyba.

Po szóste, łączenie antydepresantów z napojami alkoholowymi dwukrotnie zwiększa ryzyko uzależnienia od alkoholu.

O powyższym mówią badania kliniczne. Nie tylko amerykańskie, którym Polacy ufają najbardziej.

Przyznam szczerze, że zupełnie nie wiem, dlaczego tak się dzieje. Skąd u nas taka bezkrytyczna, bezdenna fascynacja Ameryką?

Ameryka to Ameryka. A z naukowymi osiągnięciami wielkich mocarstw spierać się nie należy. Faktem jest, że w Ameryce mają pieniądze. Na badania, na leki, na służby specjalne, które sowiec wynagradzają wszelakie podmioty dostarczające im informacji szpiegowskich. Które mogą w ten sposób zwerbować niejednego naukowca i pozyskać (no, kupić lub wykraść) niejednego autorski patent. Albo wcisnąć maluczkim (a mam na myśli łasych na kasę decydentów państw uboższych) swój przestarzały, przeterminowany produkt.

Rozpatrzmy fenomen takiego rdzennie amerykańskiego cuda, jakim jest valium. To związek chemiczny, a jednocześnie lek psychotropowy o działaniu przeciwlękowym oraz uspokajającym. Znajduje zastosowanie

szczególnie w psychologii, psychiatrii i neurologii.

Nie naszej, ponieważ u nas ten lek jest niedostępny. I bardzo dobrze.

Jeśli ktoś ma życzenie, może sobie lecieć do amerykańskiego eldorado, tam udać się do drogerii, apteki, sklepu spożywczego albo na stację benzynową. Nabyć kilka fiolek valium i wpięprzać jak dropsy miętowe. Życzę powodzenia. Wybaczcie, proszę, ale ja nie skorzystam. Wolę oddać się w ręce krajowego psychiatry, choćby to nawet miał być psychiatra resortowy. Jednakowoż uważam, że to valium zaszkodziło większości Amerykanów. W każdym razie nie są najmądrzejszym narodem świata.

A my? U nas jest podobnie. Zamiast valium mamy telewizyjno-kościelną narrację wybitnych aktywistów katolickich. Aż w nadmiarze ordynują nam dawki odmóżdżającego psychotropu.

*

Jeśli chodzi o medycynę, to ja osobiście wolę badania krajowe, prowadzone na reprezentatywnej populacji Polaków przez naszych wspaniałych lekarzy, farmaceutów, biologów i chemików. Na rodzimych

„królikach doświadczalnych”, które na co dzień pija polską czystą wódkę, zakaszają ją schabowym (tylnym wieprzowym), golonieczką (przednią), żeberkiem (najchętniej pieczonym w kapuście) albo solonym paluszkochipsem. Które powszedni chlebuś pszenno-żytni smarują grubo świńskim smalcem, a na to kładą plastry ukiszzonego ogórka.

Oczywiście szpitalna garkuchnia nie karmiła nas golonkami i żeberkiem, a najwięcej porcji prawdziwego mięsa odnotowałam w dziwnie wyglądającym i jeszcze dziwniej smakującym kotleciku mielonym.

W klasycznym przeglądzie tygodnia, czyli niby bigosiku z kiszzonej kapuchy, z nieskrywany zachwytem odkryłam zaś jeden dwucentymetrowy kawałek najtańszej kiełbasy zwyczajnej.

Przy takim ekskluzywnym kantynowym menu kole-dzy dojadali na mieście. Kiedy mogli, gdzie było najtaniej.

Czym popijali? Wiadomo. Beczkowym piwem jasnym pełnym. Polskim albo czeskim. Reasumując, moi szpitalni koledzy stanowili najlepszą grupę badawczą, jaką tylko polscy naukowcy mogliby sobie wymarzyć.

*

Po siódme, mieszanka przyjmowanych leków i alkoholu może wpłynąć na zmniejszenie popędu seksualnego.

W szpitalu nie było zakazu korzystania z owego popędu. A co nie zakazane, to dozwolone. Uleganie chuciom tego rodzaju wydawało się nawet wręcz wskazane.

Nadmieniam, że posiadanie narzeczonego (lub narzeczonej) także nie budziło zastrzeżeń natury medycznej.

Co do istnienia zastrzeżeń natury moralnej oraz etycznej? Chyba także nie bardzo. Cóż. Warunki sprzyjały doznawaniu oraz uprawianiu miłości, zdrojowo-podgórski klimat także, nikt postronny nie patrzył. Sami swoi przecież.

Wszak chodzi o to, by wyzdrowieć, pozbyć się nerwów, stresu i napięcia mięśniowego. To wszystko zapewnia uprawianie miłości fizycznej.

Seks. To jest to!

No i ciepła wiosna nastała...

*

– Kochajcie się, dzieci! Przytulajcie, całujcie. To także jest wskazana forma terapii... – usłyszałam od mojego ulubionego lekarza, gdy wyściskałam publicznie jednego z kolegów z okazji jego urodzin.

– Tak jest!

Aneta Wybieralska

SŁUŻBA ŚLEDcza

PODRĘCZNIK dla użytku policji państwowej

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI F. HOESICKA WARSZAWA — 1928.

Biblioteka Narodowa Warszawa

ROZDZIAŁ III.

Stwierdzanie tożsamości osób (identyczność).

Tożsamością osoby nazywamy dowody legitymujące pewną osobę co do imienia i nazwiska, miejsca urodzenia, przynależności i zamieszkania.

Tożsamość osoby stwierdza się za pomocą:

1. dokumentów osobistych,
2. aktów urzędowych i prywatnych,
3. zeznań potwierdzających znajomość stosunków miejscowych i osobowych miejsca zamieszkania,
4. fotografii,
5. rysopisu,
6. daktyloskopii.

ROZDZIAŁ IV.

Antropometria.

Antropometria czyli dokładny pomiar człowieka może być stosowana jako środek sprawdzenia tożsamości osoby tylko w specjalnych antropometrycznych zakładach i przez ludzi odpowiednio w tym kierunku wyszkolonych. Antropometr ja nie jest zupełnie pewnym środkiem identyfikacyjnym, ponieważ zdarzają się ludzie o jednakowych prawie pomiarach ciała. Przytem miara poszczególnych członków człowieka wskutek najróżnorodniejszych przyczyn może uleść pewnej zmianie. Antropometr ja nie może znaleźć szerokiego zastosowania, ponieważ wymaga specjalnych przyrządów, których organy śledcze przeważnie nie posiadają.

ROZDZIAŁ V.

Portret pamięciowy czyli rysopis.

Portret pamięciowy robimy w służbie śledczej o tyle, o ile da się on zastosować przez dokładny opis osoby. Dlatego powinien się organ śledczy w opisywaniu osób specjalnie ćwiczyć i każdą sposobność w tym celu wykorzystywać.

Każdego przytrzymanego, a nawet przechodzącego, lecz podejrzanego osobnika powinno się dobrze zapamiętać i w głowie sobie jego portret utrwalić, by móżdż w razie potrzeby z tego skorzystać.

Prawie w każdym człowieku można zauważyć coś charakterystycznego. Przy dokładnym opisie osób należy uwzględnić co następuje:

1. **Wiek:** mówimy dziecko, chłopiec, podrostek, mężczyzna, młodzieniec, dojrzały mężczyzna, człowiek w wieku poważnym czyli średnim, w wieku starszym, starym, staruszek; o kobietach—dziecko, dziewczynka, panienka, podłotek, panna, pani, kobieta w średnim wieku, w starszym, starym i staruszka.
2. **Wygląd zewnętrzny:** ksiądz, pan, mieszczanin, chłop, żyd, aktor, kupiec, lokaj, włóczęga, wędrowny handlarz, kelner; o kobietach: mieszczanica, obywatelka, chłopka, skromna osoba, urzędniczka, dama z półświatka, a także dziewczka, kucharka, służąca itd
3. **Budowa ciała i wzrost:** szczupły, bardzo szczupły, tegi, średniej tuszy, dobrej tuszy; tłusty, gruby, bardzo gruby, kościsty, barczysty, o wzroście: b. wysoki, wysoki, średni, mniej niż średni, niski, mały, b. mały.
4. **Wysokość wzrostu** winno się podawać w centymetrach.
5. **Chód i sposób chodzenia:** pewny, niepewny, wojskowy, poważny, niedbały, leniwy, rozwlekły, pochylony, zgarbiony, prosty, kiwający się z boku na bok czyli kaczki, nadęty, kulejący, pedagogiczny, a także chłopski, arystokratyczny itd.

(Ciąg dalszy na stronie 49)

(Ciąg dalszy ze strony 48)

- Przytem należy zaznaczyć czy nogi są proste, czy krzywe i sposób stawiania stóp — prosto, od siebie lub do siebie.
6. **Głowa:** duża, mała, wąska lub szeroka, spiczasta lub czworokątna, okrągła wydłużona.
 7. **Twarz i wyraz twarzy:** twarz pociągła, okrągła, szeroka, płaska; wyraz twarzy inteligentny, surowy, głupi, obojętny, niespokojny, przygnębiony, małpowaty; cera twarzy blada, opalona od słońca, wiatru i mrozu, niebiesko- czerwona, płomień na prawym lub lewym policzku, myszka, krosty, brodawki, wypieki itd.
 8. **Wzrok:** niespokojny, bojaźliwy, wystraszony, zimny, stalowy, otwarty, śpiący, skryty, przenikliwy, przygnębiony, smutny, wesoły, wyzywający.
 9. **Czoło:** szerokie, wysokie, półokrągłe, płaskie, niskie, wąskie, fałdowane, porane zmarszczkami.
 10. **Brwi:** gęste, rzadkie, puszyste, zrosnięte, oddalone od siebie, proste, łukowate, ciemniejsze lub jaśniejsze od włosów.
 11. **Powieki:** ruchliwe otwarte, przymknięte, grube, ciężkie, opadające, rzadko poruszające się; rzęsy ładne, gęste rzadkie, ciemniejsze lub jaśniejsze od włosów.
 12. **Oczy:** duże, małe, czyste, zamglone, wypukłe, wpadłe; co do koloru: ciemne, czarne, piwne, oure, jasne, niebieskie, zielonkawe, zielone o czerwonych białkach.
 13. **Włosy:** gęste, rzadkie, puszyste, kręcone lub proste; czesane na jeża lub z rozdziałem, a u kobiet w cienkie lub grube warstwy o potrójnych splotach, układane w kółko, ósemkę, naokoło głowy; w kupki nad uszami, węzeł na środku głowy itd.
 14. **Kolor włosów** rozróżniamy, czarny, ciemny, kasztanowaty, lniany, blond, jasno-blond, ciemno-blond, jasno i ciemno-rude.
 15. **Broda (zarost):** długa, krótka, gęsta, czesana, prosta, kręcona, rzadka, golona, jakiego koloru itd.
 16. **Wąsy:** długie, krótkie, proste, puszyste, kręcone, wiszące, kolor ich.
 17. **Uszy:** duże, małe, odstające, przylegające, czerwone, odmrożone, okrągłe, czworokątne.
 18. **Nos:** duży, mały, długi krótki, orli, zadarty, spiczasty, okrągły, garbaty, wklęsły, gruby, cienki, mięsisty o fioletowo-czerwonym końcu (u pijaków), o otwartych lub zwężonych nozdrzach.
 19. **Usta:** szerokie, małe, półotwarte, przymknięte, delikatne, czy ktoś oddycha ustami.
 20. **Wargi:** grube, cienkie, wąskie, blade, czerwone, sine, ściągnięte, t. zw. zajęcze, górna, lub dolna warga zwieszająca.
 21. **Zęby:** białe, żółte, czysto utrzymane, zaniedbane, szczerbate, brakujące, sztucznie wstawione, złote i nadmienić które.
 22. **Podbródek:** spiczasty, okrągły, krótki, szeroki.
 23. **Szyja:** długa, krótka, cienka, gruba, żyłasta, o wystającym Adamowym jabłku.
 24. **Ramiona:** szerokie, wąskie, proste, wzniesione, spadziste.
 25. **Piersi:** wąskie, szerokie, wypukłe, zapadłe.
 26. **Brzuch:** zapadły, wystający, obwisły, brzuch piwosza.
 27. **Biodra:** szerokie, wąskie, silnie zbudowane.
 28. **Nogi:** długie, cienkie, krótkie, grube, proste, kablakowate, ściągnięte w kolanach, tak samo stopy: długie, wąskie, krótkie, grube, proste, zwrócone ku wewnątrz czy na zewnątrz.
 29. **Ręce:** duże, małe, wąskie, szerokie, delikatne, spracowane, białe, opalone, kościste, chude, pulchne, znaki na rękach.
 30. **Palce:** cienkie, długie, grube, krótkie, delikatne, spracowane.
 31. **Głos:** gruby, cienki, piskliwy, ochrypły, basowy.
 32. **Sposób mówienia:** urywany, zwięzły, używanie gwary, tworzenie zdań, dobiera-

(Ciąg dalszy na stronie 50)

(Ciąg dalszy ze strony 49)

nie wyrazów, gestykulacja.

33. **Ubranie:** dokładny opis.

ROZDZIAŁ VI.

Daktyloskopia.

Daktyloskopia jest według nowoczesnych badań najpewniejszym środkiem identyfikującym przestępców. Ma także tę dodatnią stronę, że przyrządy do daktyloskopowania są tańsze niż przyrządy używane przy antropometrii i fotografii. Daktyloskopować może po krótkiej nauce każdy organ śledczy, przyrządy do daktyloskopowania są nieskomplikowane i bardzo wygodne do noszenia przy sobie. A zatem daktyloskopję może stosować każdy organ śledczy zawsze i wszędzie, co w stosunku do antropometrii i fotografii jest niemożliwe.

Dotychczasowe badania wykazały, że niema dwóch ludzi, którzyby mieli jednakowo ułożone linje czy rowki na palcach, na dłoni, na palcach u nóg i na stopach. Rowki i podwyższenia prążkowate na skórze, łatwo gołym okiem dostrzegalne, zwiemy linjami papilarnymi. Zachowują one ten sam układ od urodzenia człowieka aż do śmierci, a nawet są widoczne i po śmierci do chwili zupełnego rozkładu ciała. Gdyby nawet linje papilarne zostały sztucznie przerwane, to poprzedni ich kierunek zostanie; jeżeli zdjąć z paiców warstwę naskórka, to nowa warstwa będzie pokryta tymi samymi rowkami, co poprzednia. Stanowczo więc można powiedzieć, że linje papilarne każdego człowieka, przeniesione na papier, służą jako pewny środek identyfikacyjny.

Osobie, której tożsamość chcemy stwierdzić za pomocą daktyloskopji, robimy odciski wszystkich dziesięciu palców i przenosimy je za pomocą czernidla na odpowiednie karty zwane kartami daktyloskopijnymi.

Postępowanie przy zdejmowaniu odcisków palców jest następujące:

Kładzie się na stole kartę daktyloskopijną, a obok bloczek z kartkami poczernionymi odpowiednim czernidłem, następnie otwiera się go i osobę, której odciski palców mamy otrzy-

mać, stawia się z prawej strony o pół kroku w tył i na bok. Dalej chwyta się swoją prawą ręką prawą rękę danego osobnika, ujmuje się lewą ręką za palec duży przy końcu paznokcia i kładzie się go lewym bokiem na czernidło, kręcąc na prawo aż do kraju paznokcia i zlekka przyciskając. Potem podnosi się poczerniony palec do góry i kładzie się go lewym bokiem na oznaczonym miejscu karty daktyloskopijnej, kręcąc nim od lewej ku prawej stronie. W ten sam sposób postępuje się z palcem wskazującym, średnim, serdecznym i małym. Skończywszy z prawą ręką, odciska się duży palec i następnie u lewej ręki w tym samym porządku, co i u prawej. Po odcisnięciu na oznaczonym miejscu karty daktyloskopijnej wszystkich palców kolejno, następuje dla kontroli odcisnięcie palców — wskazującego, średniego, serdecznego i małego razem, najpierw u lewej, a potem u prawej ręki. Przy odciskaniu czterech palców razem nie kręci się palcami od lewej strony ku prawej, lecz kładzie się je płasko na poczernioną kartkę, następnie odejmuje się je ku górze, aby nie pociągnąć nimi po czernidle i kładzie się na oznaczonym miejscu karty daktyloskopijnej. Tak samo postępuje się z palcami u ręki prawej.

Przy palcach krzywych lub u trupów nie kładzie się palców na poczerniony bloczek, lecz bloczkiem, a raczej kartką bloczka czerni się palec, a później dotyka się go kartą daktyloskopijną, pod którą podkłada się linijkę, aby odcisk był wyraźniejszy.

Przy robieniu odcisków daktyloskopijnych należy zwracać uwagę, aby one były wyraźne; linje papilarne nie mogą być ani za grube, ani za blade, gdyż stają się wówczas nieczytelne, i tylko wyraźnie i czytelnie zdjęte odciski mają wartość.

Jeżeli się robi odcisk palców pracującego na roli włościanina, który ma zazwyczaj palce bardzo brudne, to powinien od przedtem wymyć ręce wodą z mydłem i dobrze je wysuszyć.

(Ciąg dalszy na stronie 51)

(Ciąg dalszy ze strony 50)

Przed zrobieniem odcisku na karcie daktyloskopijnej powinno się wpięć dla próby zrobić jeden odcisk na zwykłym papierze.

Po zrobieniu odcisków wypełnia się poszczególne rubryki, znajdujące się na odwrotnej stronie karty daktyloskopijnej.

Wypadki stosowania daktyloskopji są bardzo liczne. Podlegają jej następujące osoby:

1. Aresztowani, którzy są zbrodniami lub jednostkami szkodliwymi dla ogółu, szczególnie zaś osoby, postawione pod dozór policyjny.
2. Aresztowani, co do których istnieje przypuszczenie, że ze względu na dawniejszy tryb życia, rodzaj i sposób wykonywania karygodnych czynów — są zawodowymi zbrodniami.
3. Osoby, ujęte na gorącym uczynku za popełnienie którego grozi im kara ciężkiego więzienia, lub aomu poprawy, jakoteż osoby, którym popełnienie takiego czynu zostało udowodnione.
4. Osoby przytrzymane, lecz w danej okolicy nieznane i niemające żadnych dowodów osobistych.
5. Osoby przytrzymane, które dają powód do przypuszczenia, że podają fałszywe nazwiska.
6. Cyganie obojga płci bez względu czy są karygodni lub w wieku podlegającym kodeksowi karnemu.
7. Międzynarodowi zbrodniami i przestępcy wszelkich innych kategorii.
8. Aresztowani i podejrzeni o szpiegostwo.
9. Osoby, których tożsamość w inny sposób stwierdzoną być nie może (głuchoniemi, umysłowo - chorzy, trupy nieznanego pochodzenia itd).

Karty daktyloskopijne należy sporządzać w dwóch egzemplarzach: jeden z nich wysłać do przełożonej Komendy Okręgowej z kartą rejestracyjną, a drugi natychmiast po sporządzeniu, pomijając drogę służbową, do Wydziału Rejestracyjno-Karnego Główniej Komendy Pol.

Państw, w Warszawie, ulica Długa ur. 38.

Osobiste dane osoby daktyloskopowanej powinno się spisywać jak najdokładniej i takowe o ile to możliwe, sprawdzić według ksiąg ludności i ksiąg metrykalnych. Wzrost należy podawać w metrach i centymetrach, odliczając u mężczyzn 2, a u kobiet 3 centymetry na obcasach.

Rubryki rysopisu należy wypełniać jak najdokładniej, uwidoczniając odpowiednie szczegóły przez podkreślenie, a znaki szczególne, np. tatuowanie trzeba dokładnie opisać. O ile tylko jest to wykonalne, należy osobę daktyloskopowaną fotografować i jedną fotografię wraz z kliszą dołączyć do karty daktyloskopijnej, odsyłanej do Wydziału Rejestracyjno-Karnego. Karty daktyloskopijne kobiet oznacza się u góry czerwoną linią.

Nadesłane karty daktyloskopijne podlegają w Wydziale Rejestracyjno-karnym klasyfikacji, a następnie składa się je w registraturze daktyloskopijnej do odpowiednich przedziałów.

Karty daktyloskopijne układa się nie według nazwisk, lecz według układu linii papilarnych czyli formy odcisków.

Rozróżniamy trzy główne grupy form linii papilarnych: pętlicową, skrętową i łukową. Każda z tych trzech grup rozpada się przeszło na 400 poszczególnych form.

Urzędnik, otrzymawszy kartę daktyloskopijną po zaklasyfikowaniu karty rejestracyjnej, kartę daktyloskopijną musi zbadać, czy w odpowiednim przedziale rejestracyjnym niema już jednej takiej samej karty. Jeśli ją znajdzie, to musi zbadać przyczynę pochodzenia obydwóch tych kart daktyloskopijnych.

N. został zaaresztowany za kradzież z włamaniem przez posterunek policyjny A. Posterunek ten wysłał kartę daktyloskopijną N. do Wydziału Rejestracyjno-Karnego w Warszawie i karta ta zostaje złożona w registraturze daktyloskopijnej. N. został skazany za kradzież na 4 lata więzienia, ale po dwóch miesiącach zbiegł, o czym posterunek A. powołując się na

(Ciąg dalszy na stronie 52)

(Ciąg dalszy ze strony 51)

kartę daktyloskopijną, doniósł Wydziałowi Rejestracyjno-Karnemu w Warszawie. Tymczasem N. wałęsał się w okolicy B., gdzie go zatrzymano za włóczęgostwo. Zdejmując odcisk jego palców, posterunek policyjny w B. wypisuje kartę daktyloskopijną na nazwisko L., gdyż za takiego się zbieg podaje i wysłała tę kartę do Wydziału Rejestracyjno-karnego w Warszawie.

Po otrzymaniu karty daktyloskopijnej L. urzędnik chce ją złożyć do odpowiedniego przedziału, lecz, badając leżące tam karty daktyloskopijne, znajduje poprzednią kartę N. i stwierdza, że L. nazywa się N. i że zbiegł z więzienia. Wówczas zawiadamia o tern sąd B., gdzie N. był zatrzymany za włóczęgostwo i po odcierpieniu kary N. zostaje odesłany do więzienia w A. skąd zbiegł i gdzie musi w dalszym ciągu odsiadywać karę za kradzież.

Posterunek Policji w S. zaaresztował koniokrada i po zrobieniu odcisków z palców odesłał jego kartę daktyloskopijną do Wydziału Rejestracyjno-karnego w Warszawie. L. miał być eskortowany do więzienia w P., lecz w drodze zbiegł policjantowi w niewiadomym kierunku. Wszelkie poszukiwania zostały bezskuteczne. Tymczasem L. udał się do innego okręgu i tam pod przybranym nazwiskiem pracował w fabryce. Pobiwszy ciężko jednego z robotników, został znów zaaresztowany i daktyloskopowany.

Urzędnik, który otrzymał kartę daktyloskopijną K., stwierdził, że jest on właściwie L., że pochodzi z P. i że tam popełnił kradzież konia. Po otrzymaniu zawiadomienia sąd odnośny skazuje L. po upływie 5-iu lat od dokonania przestępstwa, na 3 lata więzienia.

Odciski i ślady palców mogą być przenoszone na papier nie tylko za pomocą farby drukarskiej. Palce u rąk i nóg, dłonie i stopy pokryte są pewnego rodzaju tłuszczem, który przy dotknięciu się pewnych przedmiotów na tych przedmiotach pozostaje. Ponieważ naskórek pokryty jest bruzdami, tłuszcz pozostanie tyl-

ko z tych miejsc, któremi się dotykamy, t. j. z części wyższych wypukłych, bruzdy nie pozostawiają żadnego śladu. Jeżeli nprz. położymy palce na szkłe, widzimy, że pozostawia one ślad całkiem wyraźny. Ślad ten będzie odpowiadał liniom papilarnym danego palca lub dłoni. Takie ślady widoczne są na szkłe, na politurowanym drzewie, na piecach kaflowych, na polerowanych i wygładzonych metalach, na niektórych gatunkach papieru, na porcelanie i w ogóle na przedmiotach o twardej i gładkiej powierzchni. Na przedmiotach miękkich i szorstkich ślady palców nie są widoczne, gdyż są przez te przedmioty wchłaniane.

Ślady na przedmiotach mogą być użytkowane w sposób dwójaki: za pomocą proszku cynkowego i tak zwanej folji, lub za pomocą odfotografowania.

Przedmioty, mające na sobie widoczne ślady palców i dające się przenosić, winny być zabezpieczone, aby śladów nie starto, i odesłane do Wydziału Rejestracyjnego karnego.

Na przedmiotach, nienadających się do odesłania, jak naprz. szafy, komody, piece, powinny być ślady zdjęte za pomocą folji.

Organ śledczy, przybywszy na miejsce przestępstwa, powinien wszystkie znajdujące się tam przedmioty poddać dokładnym badaniom posiłkując się przy tem lupą i światłem. Znalazszy ślady i upewniwszy się, że pochodzą one od dotknięcia się przestępcy, bierze organ śledczy proszek cynkowy i z lekka zanurza w nim odpowiedni pendzel, następnie pociąga nim wszerek i wzdłuż po tym miejscu, gdzie ślad zauważył. Proszek cynkowy przylega do miejsc zatłuszczonych i po krótkim pendzlowaniu linje papilarne występują zupełnie dokładnie. Gdy ślad już jest widoczny, odcina organ śledczy odpowiedni kawałek folji, zdejmując z niej papier ochronny i kładzie na ślad pokryty proszkiem, zlekka przyciskając. Następnie tę folję zdejmując, nakrywa ją papierem ochronnym i oznacza z odwrotnej strony liczbą lub odpowiednim napisem, gdyż, robiąc w

(Ciąg dalszy na stronie 53)

(Ciąg dalszy ze strony 52)

jednym mieszkaniu kilka zdjęć, musi uważać aby ich nie pomieszać i mógł je później dokładnie opisać.

W mieszkaniu N. bandyci dokonali grabieży. Organ śledczy stwierdził następnego dnia, że bandyci, szukając pieniędzy w komodzie, palili lampę. Na szkle od lampy były bardzo wyraźne ślady czterech palców, na komodzie ślady dwóch palców, na szybie w oknie też były widoczne ślady palców.

Przed przybyciem organu śledczego nikt z obcych tych przedmiotów nie dotykał, ale przez domowników mogły być one ruszone, choć tego nie podali.

Organ śledczy daktyloskopuje wszystkich domowników, ślady palców z komody zdejmuje za pomocą folii, a szkło z lampy i z szyby pakuje, zabezpieczając je przed starciem śladów. Następnie śledztwo prowadzi dalej. O napad podejrzani są trzech ludzie, których nazwiska są nieznane. Ponieważ dochodzenia nie dały na razie żadnego wyniku, organ śledczy wysłał do Wydziału Rejestracyjno - karnego szkło z lampy i z szyby, odciski zdjęte z komody oraz kart> daktyloskopijne domowników, dołączając do wszystkiego odpowiedni opis. Wszystkie te odciski palców odfotografowano i stwierdzono, że ślady na komodzie i na szkle z szyby są obce, a

z czterech śladów na szkle od lampy dwa są obce, a dwa poszkodowanego. Urzędnik, składając otrzymane odciski do odpowiedniego przedziału, znajduje tam podobne odciski z palców dwóch robotników z D., którzy byli przed dwoma laty aresztowani za kradzież drobiu. Zawiadamia o tym posterunek policji w N., który mając daty urodzenia i miejsce zamieszkania podejrzanych, sprowadza ich na miejsce czynu, gdzie świadkowie poznają w nich tych samych ludzi, którzy wieczorem przed popełnieniem grabieży, szukali u nich noclegu, sprawcy zostali zatem wykryci.

W pewnej firmie dokonano kradzieży pieniędzy. Znalezione odciski palców na stole i szybie z okna odfotografowano. O kradzież podejrzewano funkcjonariuszów zatrudnionych w tej firmie. Dokonano więc zdjęć daktyloskopijnych i przy porównywaniu odcisków w Wydziale Rejestracyjno-karnym stwierdzono; że odciski palców pozostawił N. subiekt, a zatem on musiał tę kradzież popełnić. U niego też znaleziono pieniądze, a więc sprawca był odszukany.

Nadmienić należy, że ostrożny złodziej kradnie w rękawiczkach, żeby nie pozostawić śladów; nie zawsze jednak przestępca jest tak przeczorny; dlatego trzeba takich śladów pilnie poszukiwać.

CDN



Karol Wysztyński. Służba 1972-1996 od kpr. do sierż. szt. garnizon elbląski kompania konwojowo ochronna
<https://www.facebook.com/photo/?fbid=2328185700658995&set=gm.968194103934176>

Funkcjonariusze Komendy Powiatowej MO w Giżycku z głębokim żalem pożegnali na zawsze reżysję – st. sierż. Zygmunta Kopecia. W ostatniej drodze Zmarłemu towarzyszyły rzesze mieszkańców miasta, wśród których cieszył się ogromnym uznaniem i szacunkiem.

Tow. Zygmunt Kopec wstąpił do milicji w 1945 roku, a w trzy lata później do PZPR. Sprawował w KPMO w Giżycku funkcje oskarżyciela grodzkiego i referenta operacyjno-dochodzeniowego. W okresie swej służby w MO nigdy nie zawiedzi zaufania przełożonych i kolektynu partyjnego. Był zawsze dobrym i serdecznym kolegą.

W 1968 roku ciężka, nieuleczalna choroba przykuła Zygmunta Kopecia do łóżka. Komisja lekarska zalicza go do inwalidów I grupy. Mimo to chory nie tracił pogody ducha. W dalszym ciągu, choć jego możliwości są ograniczone, służył wszystkim dobrą radą i pomocą.

St. sierż. Zygmunt Kopec odznaczony był Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Brązowym Krzyżem Zasługi, medalem X Lat PRL, odznakami: X lat w Służbie Narodu, Za Wzorową Służbę i Tytułowiec.

Opuścił nasze szeregi nieustraszony aktywista społeczny i partyjny oraz człowiek o szlachetnym sercu.

Cześć Jego pamięci!

ODSZEDŁ NA ZAWSZE Z NASZYCH SZEREGÓW



Krew milicjantów dla Wietnamu

Na zebraniu sprawozdawczo-wyborczym POP przy Komendzie Powiatowej Milicji Obywatelskiej w Giżycku por. Tadeusz Skolorzynski zaproponował, by funkcjonariusze MO honorowo oddali krew dla walczącego Wietnamu. Myśl ta spotkała się z powszechną aprobatą zebranych.

Kilka dni temu jednemu milicjantów oddało ponad 2 litry swej krwi.

(Wb)

Art. WSN z dn. 9.VII.70r napisany przez tow. Torbicza B.

KREW DLA WALCZĄCEGO WIETNAMU

Na zebraniu sprawozdawczo-wyborczym POP przy KPMO w Giżycku tow. por. T. Skolorzynski zwrócił się do zebranych z apelem o honorowe oddanie krwi dla walczącego Wietnamu. Wniosek został przyjęty.

15 i 18 maja b.r. II funkcjonariusze oddali 2 litry i 200 ml krwi w Stacji Honorowego Krwiodawstwa w Giżycku. Taka ofiara krwi jest godna najwyższego uznania.

Sekretarz POP przy KPMO w Giżycku
sierż. mgr S. TORBICZ





Głos Olsztyński z 1968r.

Historia giżyckiej Milicji Obywatelskiej w albumach Bogdana Makowskiego





Giżycko, 1971r.
Na spotkaniu z Ob.K-tem Woj. MO
płk. Moczowski wręczono nagrodę
Ob. Wyskwar Helenie za znalezienie
pistoletu PW-33, z którego bandyta
Bogdan Bohdanowicz po dokonaniu napadu
na sklep zastrzelił plut. Kolczyńskiego.
Na zdjęciu: Ob. Wyskwar Helena i jej
mąż Stanisław.



Również w Urzędzie Stanu Cywilnego w Rynie,
pow. Giżycko, nadano uroczyste imiona dziecku
funkcjonariusza z miejscowego posterunku, plut. Cze-
sława Lipki. Oprócz rodziny i gości uczestniczył w tej
uroczystości przedstawiciel kierownictwa KPMO
w Giżycku, por. mgr Bazyl Torbica. Jest to już
trzeci z kolei w tym urzędzie cywilny „chrzest”
dzieci milicjantów z Posterunku MO w Rynie.
Nadano imię 20.11.71.
KRZYSZTOF KUNKA

**6 lat temu ukazał się pierwszy tomik "Różnych smaków miłości".
Po nim ukazał się drugi - „Różne smaki miłości. Miód i piołun”.
Wspomnienie okraszam przypomnieniem kilku wierszy z pierwszego tomiku.**



POGRZEB

Szedł kondukt pogrzebowy ulicami miasta,
Bez chorągwi, bez księdza i orkiestry dętej.
Na trumnie zbitej z nieoheblowanych desek,
Ktoś położył kwiat róży czerwonej, zwiędniętej.
Trumnę na barkach nieśli ponurzy grabarze
Z nosami zsiniałymi od ogromu wódki.
Zaś za nimi, cichutkie wydając westchnienia,
Szły na czarno ubrane, niezliczone smutki.
A kogo to chowają? – zapytał przechodzień,
Który stanął przy drodze trumienki
przemarszu.
Od żałobników krótką otrzymał odpowiedź:
- To miłość utopiona w obłudzie i fałszu.

ŁÓDŹ RATUNKOWA

Gdy w kipieli smutku tonę,
Chandra zdusić mnie gotowa,
Nagle przy mnie się pojawia
Twoja dłoń – łódź ratunkowa.
Dotyk jej, ciepły i czuły,
Chłód mej duszy w żar przemienia,
Precz przegania melancholię
I przywraca sens istnienia.
Żadna ciemność mi nie straszna,
Wszelkie zło w niebyt odchodzi...
Po spokojnym oceanie
Płynę w Twojej dłoni – łodzi.

POWÓD DO WŚCIEKŁOŚCI

Zenon Piłka do domu wrócił rozzłoszczony.
Kopniakiem drzwi otworzył, i...
w objęciach żony
Zobaczył wyblakłego, gołego chudzińca,
Który gdy dojrzał męża swej kochanki minę,
Wydał krzyk przerażenia; nie wyszedł
on z gęby...
Zenon miał wyszczerzone, zaciśnięte zęby.
Wpadł do kuchni, szarpnięciem otworzył
lodówkę,
I z tak zwanego gwinta, pił ostro żytniówkę.
Żona zaraz do kuchni przyszła na kolanach
Błagała go o litość owieczka zbłąkana:
- Proszę Cię mężu drogi, nie bądź
w złym humorze,
Raz pierwszy i ostatni w życiu cudzołożył!
Zenon wściekłością dyszał,
twarz mu szczerwieniła.

Daj mi spokój, znów Legia dwa-zero przegrała!

RECEPTA

Gdy w uszach gromem dzwoni cisza,
Gdy radość przegoniły smutki,
A życie gębę ma ponurą.
Przytul psa, napij się wódki.
Gdy szczęście wznosi cię do nieba
I nagle zrzuca do wygodki,
Nie płacz, bo tak najczęściej bywa.
Przytul psa, napij się wódki.
Bywa, że stajesz na rozdrożu
Podczas życiowej swej wędrówki
I miotasz się, w którą iść stronę?...
Przytul psa, napij się wódki.

* * *

Jednak, by nie wpaść w brzydki nałóg,
I się nie stoczyć na dno zła,
Czasami zmieniaj kolej rzeczy
Napij się wódki, przytul psa.

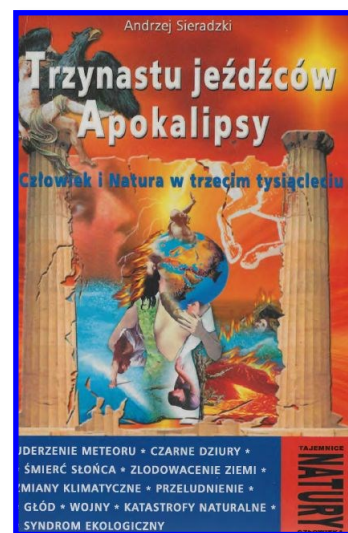
Janusz Maciej Jastrzębski

Trzynastu jeźdźców Apokalipsy Czy wyginiemy jak dinozaury? Zamiast epilogu

W ciągu 4,6 miliarda lat istnienia naszej planety nikomu nie udało się na nią wyrzucić takiego wpływu jak człowiek. Jest to tym bardziej zdumiewające, że epoka istot ludzkich to zaledwie jedna dwutysięcznopięćsetna część historii Ziemi. Ludzie wiele zbudowali, ale jeszcze więcej dokonali zniszczeń w biosferze. To urodzeni destruktorzy status quo. Burzą, rabują i zanieczyszczają wszystko, co się znajduje w ich zasięgu, co nieuchronnie musi się później ujawnić na warunkach ich życia.

Andrzej Sieradzki

[Andrzej Sieradzki – Wikipedia, wolna encyklopedia](#)



Czy wyginiemy jak dinozaury?

Zegar historii Ziemi

Ziemia zaczęła się tworzyć około 4,6 miliarda lat temu. Dla człowieka liczba ta nie ma większego znaczenia, gdyż jest niewyobrażalna. Aby chociaż w przybliżeniu uzmysłwić sobie to, co działo się na naszej planecie przed pojawieniem się dwunożnych istot umiejących pisać i czytać i jak mało miejsca zajmują w dziejach świata, posłużmy się przykładem podanym przez amerykańskiego geologa, Dona Eichera, w książce *Geologie Time*.

Dla uproszczenia spróbujmy sobie wyobrazić, że owe 4,6 miliarda lat zostało zawarte w kalendarzu obejmującym rok, czyli 4,6 miliarda lat = 365 dni.

I tak, przez styczeń i luty tego symbolicznego roku nie działo się nic interesującego. Skały, które możemy dziś oglądać, powstały dopiero w marcu. Dopiero w maju pojawiły się na Ziemi pierwociny życia, czyli pierwsze organizmy zdolne do reprodukcji. To życie musiało się rozwijać przez połowę czasu istnienia Ziemi, gdyż dopiero w listopadzie pojawiły się pierwsze rośliny i zwierzęta. W połowie grudnia ziemską przestrzeń zawładnęły dinozaury i inne gady z tego okresu. Przeżyły one blisko 200 milionów lat, ale w naszym kalendarzu ich epoka trwała dość krótko, bo zakończyła się już włoski magazyn popularnonaukowy *Cambio 16*, na tej podstawie amerykański geolog, Walter Alvarez, sformułował przypuszczenie, że w końcu okresu kredowego o

powierzchnię Ziemi rozbił się meteoryt o średnicy około 10 kilometrów, lecący z prędkością 100 tysięcy kilometrów na godzinę. Uderzając w powierzchnię Ziemi (na Jukatanie - przyp. aut.), wytworzył dwustukilometrowej długości krater. Olbrzymia chmura pyłu otoczyła planetę na trzy lata, uniemożliwiając promieniom słonecznym dotarcie do jej powierzchni. Uderzenie wywołało trzęsienie ziemi, a w konsekwencji gigantyczne tsunami i powodzie. Brak słońca sprawił, że nie tylko klimat się ochłodził, ale uniemożliwił też fotosyntezę, przerywając łańcuch żywieniowy w przyrodzie. Tysiące gatunków (wśród nich dinozaury) zginęły z głodu i zimna lub w katastroficznych wydarzeniach.

Hipoteza Alvareza, wprawdzie nie jednoznacznie, ale została zaakceptowana przez środowiska naukowe. Niektórzy paleontolodzy są zdania, że przy końcu okresu kredowego niemal trzy czwarte ówczesnych gatunków fauny znajdowało się w fazie dekadencji ewolucyjnej, to znaczy, osiągnęło już szczyt możliwości adaptowania się do środowiska. Uczeni ci opierają swoją tezę na tym, że u zwierząt tych nastąpiły głębokie zmiany biologiczne, których nie ma powodu wiązać z uderzeniem meteoru. Być może zmiany te były następstwem zmiany biegunowości Ziemi lub niespotykanej wcześniej aktywności wulkanów.

(Ciąg dalszy na stronie 58)

(Ciąg dalszy ze strony 57)

Czyżby istniało prawo cyklicznej zagłady?

Należy ze smutkiem skonstatować, że wszelkie formy życia na Ziemi, które nas poprzedzały, nie miały szczęścia do wieczności, chociaż na przykład dinozaury i inne wielkie gady panowały ponad sto sześćdziesiąt milionów lat. Naukowcy szacują, że 99 procent wszystkich gatunków, jakie pojawiły się na naszej planecie, wyginęło. Według prof. Johna Sepkosky'ego z uniwersytetu w Chicago, co 26,2 miliona lat w przyrodzie zachodzi coś, co powoduje zagładę większości istot. Pierwsza zarejestrowana zagłada była największa i wystąpiła 248 milionów lat temu. Zginęło wówczas 98 procent zwierząt morskich. Do czasów współczesnych nastąpiło 9 cykli po 26,2 miliona lat. Zgodnie z tą teorią znajdujemy się dokładnie pośrodku owego cyklicznego okresu. Najbliższa totalna katastrofa nastąpi za około 13 milionów lat.

Zdaniem paleontologów, nie można porównywać epok dinozaurów z epoką, w której żyje człowiek. Jak twierdzi fiński uczony, Bjorn Kurten:

„Dla dinozaurów Ziemia stała się środowiskiem nie nadającym się do zamieszkania. Ale one nie uczyniły niczego, by doprowadzić do takiej sytuacji”.

Natomiast ludzkość z olbrzymią potęgą technologiczną oraz niefrasobliwością potrafi znacznie przyspieszyć proces zniszczenia, czyniąc ziemię niezdolną do utrzymania się na niej życia. Człowiek jest najbardziej niszczycielskim ze wszystkich gatunków: powoduje pustoszczenie wielkich obszarów, doprowadza do wyczerpywania się nieodnawialnych zasobów naturalnych, wycina lasy i zatrzuwa wodę. Z jednej strony przyczynia się do rosnącego dobrobytu, a z drugiej do powstawania obszarów nie nadających się do zamieszkania i do coraz większej nędzy. Manipuluje genami, nie znając skutków swojej ingerencji w prawa Natury. A do tego wymyśla metody masowej eksterminacji, które są o wiele groźniejsze niż najstraszniejsze z form stosowanych przez Naturę, na przykład broń nuklearną. Uwolnienie energii jądrowej, nagromadzonej na świecie,

spowodowałoby ostateczne zniszczenie wszelkich form życia, największy kataklizm w historii Ziemi.

Czy podzielimy los dinozaurów?

Francuski biolog i myśliciel, Jean Rostand, jest zwolennikiem teorii, że podzielimy los dinozaurów i innych wymarłych gatunków, ponieważ w przyrodzie wszystko jest przemijające. Tak uzasadnia swoją teorię:

„Gatunek ludzki przeminie tak samo, jak przeminęły dinozaury. Nie pozostanie po nas nawet to, co pozostało po neandertalczykach, których szczątki przynajmniej znalazły schronienie w muzeach potomków. W małym zakątku wszechświata, jakim jest Ziemia, raz na zawsze zakończy się śmieszna przygoda protoplazmy[...]. Wspominając swoje początki, człowiek ma z pewnością wystarczająco dużo powodów do dumy. A jest tak nowy na tej planecie, że jego obecność zajmuje mniej niż 0,05 procent historii Ziemi. Przed człowiekiem miliony gatunków królowały w przyrodzie. Również przed nim gatunki te wymarły, pozostawiając w najlepszym wypadku ślad w postaci kilku kości lub odcisku w skamielinach. Człowiek, mimo swojej dumy i gorączkowych fantazji na własny temat, również może wyginać i przeistoczyć się w przyszłości w zwierzę tak legendarne, jakim dziś jest dla niego dinozaur”.

Nasuwa się dylemat natury moralnej: czy należy dobijać chorego władcę wieścią o upadku jego królestwa? Nie wydaje się jednak, aby zbyt wiele osób martwiło się nadchodzącym kresem rodzaju ludzkiego. Częściej mówi się o kryzysie niż o końcu naszej populacji. Ludzkość jest tym żywym kolosem o licznych ułomnościach, którego los jest dziś trudny do przewidzenia. Mimo wszystko niektórzy wierzą niezachwianie w przebiegłość człowieka, którą stosuje, aby przetrwać. Inni, jak laureat Nagrody Nobla w dziedzinie fizyki, twierdzą, że „tworzenie umysłu dopiero się zaczęło”.

(Ciąg dalszy na stronie 59)

Zamiast epilogu

(Ciąg dalszy ze strony 58)

Bariery wzrostu

Francuski futurolog, Lucien Barnier, na łamach popularnego dziennika rzymskiego *Corriere della Sera* wypowiedział się na temat perspektyw egzystencji człowieka na planecie Ziemia w kontekście czyhających zagrożeń. Z uwagi na to, iż prezentowane poglądy korespondują z prognozami wielu innych naukowców i są zbieżne z hipotezami zawartymi w niniejszej książce, przedstawiamy wybrane opinie Luciena Barniera.

Ludzkość - tj. ponad 6 miliardów osobników określanych słusznie czy niesłusznie *homo sapiens* - nieuchronnie zmierza ku końcowi swojej egzystencji. I to nie tyle nasze zdolności do czynienia dalszego postępu technicznego, ile nasze możliwości praktycznego wykorzystania go stają się coraz bardziej ograniczone. Na przykład, prawdopodobnie pojazdy kosmiczne osiągną kiedyś prędkość zbliżoną do prędkości światła, ale z prostego rachunku wynika, że nigdy nie będziemy mogli wychylić się poza „niezbyt odległe” granice naszej Galaktyki. Podróż na gwiazdy innych gwiazdozbiorów pochłonięłaby bowiem tyle czasu, ile upłynęło od dni chwały starożytnego Egiptu do dni życia naszego pokolenia.

Podróże kosmiczne są prawdopodobnie szczytowym osiągnięciem naszej cywilizacji. Niewątpliwie uda się dzięki nim nawiązać łączność ze wszystkimi planetami Układu Słonecznego. Ale będzie to nasz przysłowiowy „łabędzi śpiew”.

Rozwój techniki może umożliwić niesłychany postęp cywilizacji. Biolodzy postarają się o podwojenie wydajności intelektualnej naszych mózgów, zwiększą nasze zdolności pamięciowe. Może będziemy mogli posługiwać się super narzędziami czy sztucznymi kończynami w przypadku utraty naturalnych, może będziemy mogli przyprawić sobie skrzydła, może uczeni potrafią przechwytywać fale mózgowe i będziemy mogli porozumiewać się bez otwierania ust i nie wy-

dając głosu. Niewykluczone, że już niedługo będziemy umieć fabrykować syntetycznie proteiny, cukier i skrobię, a może nawet w dalszej przyszłości obyć się bez konieczności uprawiania ziemi? Dzięki udoskonaleniu metod zwalczania bakterii i wirusów uda się przedłużyć życie ludzkie do 120-150 lat. W ten sposób możemy dalej snuć nasze marzenia o potędze ludzkiego rozumu i podporządkowaniu sobie sił przyrody.

Tymczasem nie jesteśmy pewni, czy ludzkość przeżyje jakiś potężny kataklizm wywołany zakłóceniem praw przyrody. Zdajemy sobie przecież sprawę z faktu, że ludzkość nie jest biologicznie wieczna. Człowiek pojawił się w zamierzonych czasach (według najdalej idących źródeł, przed dwoma milionami lat - przyp. aut.), wyzwoliwszy się ze swego zwierzęcego stanu. Od okresu, kiedy żył tzw. człowiek z Olduwai, który zaludniał naszą planetę około 1750 tysięcy lat temu, do naszych czasów upłynęła zaledwie jedna dwutysięczno-pięćsetna część czasu istnienia Ziemi. Stosunek tych dwóch wielkości odpowiada stosunkowi jednego dnia do siedmiu lat. W okresie 4,600 milionów lat istnienia Ziemi nie było istot myślących, którym udałoby się wyłamać spod niezłomnych praw przyrody prawa życia, rozwoju i śmierci. Dlaczego zatem nam miało być się to udać?

Oderwanie od natury zemści się

Wszystko, co żyje, po pewnym czasie degeneruje się i obumiera. Ludzki gatunek starzeje się, słabnie i nie na wiele pomogą sztuczne serca, płuca i inne cuda techniki transplantacyjnej. Przyjrzyjmy się zębom na przykład sinantropusa i naszym, a przekonamy się, w jakim stopniu uległa osłabieniu nasza szczeka. Człowiek staje się coraz słabszy. Wyobraźmy sobie powrót epoki lodowcowej, która pokryłaby warstwą lodu obszary rozciągające się po Loarę, Colorado, Dunaj, Don i Wołgę. Ponad miliard osób pozbawionych zostałoby źródeł energii elektrycznej,

(Ciąg dalszy na stronie 60)

(Ciąg dalszy ze strony 59)

transportu, dostaw żywności. Wyobraźmy sobie ludzi uwięzionych w miastach, sparaliżowanych brakiem energii cieplnej i świetlnej, umierających w mrokach lodowatej nocy polarnej. Nasza cywilizacja, która podporządkowała sobie materię, byłaby całkowicie bezbronna wobec raptownego obniżenia się temperatury o kilkanaście stopni. Wyrok śmierci na cały Olimp współczesnych półbogów byłoby można przeczytać na skali termometru.

A może zdarzyć się sytuacja inna. Nagły wzrost temperatury pozbawi Ziemię roślinności. Jakaś większa powódź może splukać wszystko co żywe oraz świat roślinny. Rozwój cywilizacji tak nas rozpieścił, że na przykład brak energii elektrycznej przez pół roku uczyniłby więcej strat niż' kilkuletnia wojna.

Gatunek ludzki może istnieć 3 miliony lat

Człowiek jest jednym z najodporniejszych ssaków. Niestety, przyroda, która tak wydatnie pomogła człowiekowi prehistorycznemu, nie może nam w niczym pomóc, gdyż wyparliśmy się jej, stwarzając sobie świat cywilizowany. Naukowcy obliczają, że okres egzystencji ludzi nie przekroczy trzech milionów lat. A zatem przeżyliśmy już, albo dopiero, dwie trzecie przypuszczalnego okresu rozwoju. Tworzenie sztucznych warunków życia w równej mierze nas uszczęśliwia, co uzależnia i ubezwłasnowolnia. Jeżeli niepewna przyszłość spowoduje diametralnie inne warunki, to nie możemy być pewni, czy nasza inteligencja pozwoli Ziemi odzyskać utraconą równowagę.

Załóżmy hipotetycznie, że lodowce, które

dotarły aż do zwrotników, udało się nam cofnąć poprzez ogrzanie Ziemi za pomocą wielkich kosmicznych luster. Nie wiemy, jakie będą skutki uboczne takich działań. Być może stworzymy warunki dla rozwoju różnych odmian nieznanych wirusów, grzybów i pleśni. Załóżmy, że na Ziemi wygasło życie ludzkie, podczas gdy na innych planetach istnieją warunki sprzyjające rozwojowi naszych potomków. Co zatem będzie działo się na Ziemi? Czy jakiś gatunek istot myślących potrafi wytyczyć sobie drogę ewolucyjnego rozwoju? Wśród naukowców występują stanowiska często przeciwstawne. Z anatomicznego punktu widzenia wszystkie zwierzęta posiadające potencjalne zdolności rozwojowe są starsze od człowieka. Wyjątek stanowi pies. Wychowany przez człowieka i przez tysiąclecia przebywający w jego domu ma wśród czworonogów największe możliwości postępu na drodze ewolucyjnych przeobrażeń. Oczywiście fakt, że pies ma takie możliwości, jeszcze o niczym nie przesądza. Być może cechy te nigdy nie zostaną szerzej wykorzystane.

Większość opinii uczonych optuje za teorią, że po wyginięciu gatunku ludzkiego Ziemia na całe tysiąclecia, a być może na zawsze, wyzwoli się spod panowania istot myślących. Jeżeli nawet jacyś emigranci dotrą za pomocą pojazdów kosmicznych na inne planety, to nie będą marzyć o powrocie, bo nie porzucą lepszych warunków na gorsze. A więc przynajmniej teoretycznie możliwy jest kres ludzkiej odysei na Matce Ziemi.

Andrzej Sieradzki



Miejski Rzecznik Konsumentów w Olsztynie
10-101 Olsztyn, Plac. J. Pawła II 1

telefon: 89 522 28 01 e-mail: rzecznikkonsumentow@olsztyn.eu
Przyjęcia interesantów: poniedziałek – 10.00-17.00 wtorek-piątek – 11.00-15.30

Miejski Rzecznik Konsumentów – Olsztyn – RZECZNIK

Prezydium Zarządu Oddziału Wojewódzkiego SEiRP w Olsztynie
Informuje:

Porady i pomoc prawną można uzyskać
w godzinach otwarcia Biura Zarządu Oddziału w terminach jak niżej

Prezydium Oddziału Wojewódzkiego SEiRP w Olsztynie
Informuje:

Merytoryczne posiedzenia prezydium (w pełnym składzie) odbywają się:
W każdą pierwszą i третią („nie świąteczną”) środę miesiąca w godz. 10.00-12.00.
Stały kontakt:

tel. kom.: 519 340 125, e-mail: zwseirp_olsztyn@wp.pl

Adres do korespondencji:

Komenda Wojewódzka Policji w Olsztynie
Sekcja Socjalna
ul. Partyzantów 6/8
10-950 Olsztyn
Stowarzyszenie Emerytów i Rencistów Policyjnych

Dane do faktur /wzór/

STOWARZYSZENIE EMERYTÓW I RENCISTÓW POLICYJNYCH
ZARZĄD KOŁA W OLSZTYNIE
10-542 OLSZTYN, ul. Dąbrowszczaków 41
NIP: 8512442679

Konto Bankowe Zarządu Wojewódzkiego

STOWARZYSZENIE EMERYTÓW I RENCISTÓW POLICYJNYCH
ZARZĄD WOJEWÓDZKI W OLSZTYNIE
Bank BGŻ BNP Paribas S.A.
Nr konta: **67 2030 0045 1110 0000 0416 2430**

MEDIALNY PUNKT KONTAKTOWY POKRZYWDZONYCH BYŁYCH FUNKCJONARIUSZY

Funkcjonuje od 2018 r. w Biurze Prezydium ZG SEiRP pod adresem e-mailowy: wykluczeni@seirp.pl który jest punktem kontaktowym dla wszystkich byłych funkcjonariuszy pokrzywdzonych w wyniku bezprawnego poddania weryfikacji, a następnie włączonych do katalogu funkcjonariuszy organów bezpieczeństwa państwa i katalogu funkcjonariuszy pełniących służbę na rzecz totalitarnego państwa przez działających w porozumieniu przedstawicieli IPN, MSWiA i ZER. Biuro Zarządu Głównego SEiRP

Olsztyński Biuletyn Informacyjny

Wydawnictwo Zarządu Oddziału Wojewódzkiego
Stowarzyszenia Emerytów i Rencistów Policyjnych w Olsztynie.
Redaguje: Jerzy K. Kowalewicz, Korekta: Maria Kowalewicz
OBI w sieci na stronach www:

<http://www.seirp.pl/olsztyński-biuletyn-informacyjny> https://fssm.pl/ckfinder_pliki/files/OBI/
<http://seirp.olsztyn.pl/>

E-mail: zwseirp_olsztyn@wp.pl tel. kom. 519 340 125.
10-542 Olsztyn, ul. Dąbrowszczaków 41



**Biuletyn Informacyjny ZG SEiRP -
Zarząd Główny Stowarzyszenia Emerytów i Rencistów Policyjnych**



<https://www.facebook.com/photo?fbid=7105066522945814&set=gm.984607769680935&idortv=328954098579642>
Marianna Urbańska

Kiedy masz za złe Panu Bogu,
Że starość Mu się nie udała,
Wspomnij przyjaciół swych i wrogów,
Których przedwcześnie śmierć zabrała.

Gdy z trudem z łóżka wstajesz rano
I czujesz się jak połamany,
Pamiętaj: życie wszystkim dano,
A starość - tylko tym wybranym.



**„Gazeta Senior” Luty 2024 [02/2024]. Sprawdź,
Co W Numerze? - GazetaSenior.pl**